









*STANISŁAW WIDACKI.*

# NOCE ROMANTYCZNE

Z WIERSZEM WSTĘPNYM

*JÓZEFA JANKOWSKIEGO.*



INSTYTUT  
BACON I ZEPHYR PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA, 1916.

SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI E. WENDEGO i S-ki.



*STANISŁAW WIDACKI.*

---

# NOCE ROMANTYCZNE

Z WIERSZEM WSTĘPNYM

*JÓZEFA JANKOWSKIEGO.*



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

WARSZAWA, 1916.  
SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI E. WENDEGO i S-ki.



---

Druk K. Kowalewskiego, Pięka 15.



## DO MŁODEGO POETY

(zamiast wstępu do poematu Stanisława Widackiego p. t. NOCE ROMANTYCZNE).

Poeto młody! W świat szeroki  
Skroś ciernie i, skroś gruz  
Idziesz, natchniony przez uroki  
Tej najpiękniejszej z muz.

Jej pocałunek na twem czole,  
Jak gwiazda w blasku zórz,  
A w piersi ogród w czarów kole  
Z jaśminów, z wonnych róż.

I lutnię w rękę dierzysz złotą,  
Czułą na każdy wiew:  
Westchniesz — zadzwięczy ci tęsknotą, —  
Spłoniesz — już wre, jak krew.

Więc ś r o d k i wszystkie masz, poeto,  
Przez które ducha biel  
Gra tęczą tutaj, — pomnij przeto,  
Byś Piękna miał i c e l.

A celem tym — na końcu drogi  
Wieczystej — Słońca gród,  
I Idealu złote progi —  
ŻYWOT — i ciągły trud.

*Na ten gościniec Ideалу  
Wstąpiwszy, masz już iść, —  
A nęł przydrożny bez podziału,  
Jak zwiędły rzucać liść.*

---

*Bo z drogi kęsem tej masz przecie  
Na bramach tych tam zórz  
Zawiesić lutnię — by na świecie  
Ztąd widniej było już.*

---

*A gdy ci Życie — nie u-życie,  
Nie jego żądny sierp,  
Ma celem być, — to już niezbicie  
Tę drogę krusz — a cierp.*

---

*I na tych szlakach najniezłomniej  
Siebie dla Sprawy ściel:  
Szczęśliw — o sobie kto zapomni,  
Wpatrzony w Słońca cel.*

---

*Bo wiesz to: nie dźwięk z grą tęczową,  
Co — jak upojeń plyn,  
Jest celem Piękna, ale SŁOWO,  
Które się wciela w Czyn.*

---

*Tą drogą zdqżaj, tchem nie wiotki,  
A Słowo w życie wciel:  
Poeto! Piękna wszystkie środki  
Masz, — Piękna ziść i cel!*

26. II. 1916 r.

Józef Jankowski.

---

## NOCE ROMANTYCZNE.

### I.

Najmłodszy z młodych, idąc dawnych mistrzów torem,  
Powiniennem pieśń moją zacząć od wezwania,  
By ją przystroić pewnej godności pozorem,  
Zdobiąc na wstępie hołdem czci lub ukochania...  
Powiniennem... lecz dzisiaj serce nie jest skorem  
Do hołdów, nie ma uczuć do ofiarowania:  
Algebra myśli w sieć je spętała misterną,  
Usuając zeń wszelką wartość... niewymierną.

Tak niedawnej przeszłości urok romantyczny  
Rozwiewa się i blednie, ginąc w zapomnieniu:  
Mgły tęczowe rozdziera rzut oka krytyczny  
I, zamiast wśród ich tęczy tonąc w zachwyceniu,  
We mgłach — mgły tylko widzi chłodny, ironiczny  
Analityk, oporny wszelkiemu natchnieniu.  
Któż wobec niego zdoła tworzyć poemata? —  
Marzenie dlań — dzieciństwo, — próżna czasu strata.

Pomyśleć tylko, — dawniej, byle noc zapadła,  
Byle rąbek księżycy wyrzał z poza chmury,  
Wnet się dokoła dziwne zjawiały widziadła:  
Każdy krzak pełne grozy przybierał kontury,  
Upiory napelniały bory i mokradła,  
Z grobów powstawał zmarłych korowód ponury,  
Każde drzewo szeptało powieść fantastyczną,  
Każdy strumyk piosenką odzywał się śliczną —

Istny raj dla poety: chwyta pióro gęsie,  
Wnet, jednym pociągnięciem, wywodzi „Ballada“,  
Poczem, strząsając łezkę, błyszczącą na rzęsie,  
Już nam rycerskich duchów dzieje opowiada,  
Już komuś groźny upiór kły zatapia w mięsie,  
Przed innym w gąszczu leśnym wdzięczy się dryjada:  
— Cóż dziwnego, że serce w czytelniku skacze?  
Dziś — nad moją powieścią żaden nie zapłacze.

Zacznę jednak:

— Był wieczór. W zamku della Sera  
Na tarasie książęcych gości bawi grono;  
Błyskotliwa rozmowa wśród nich nie zamiera.  
W rękę pięknej władczyni światowe wrzeczono,  
Wirując nieprzerwanie, wszystkie pasma zbiera  
I łączy w jedną nitkę, jakby z tęczw plecioną,  
Wiążąc żart z filozofją, z weselem — tęsknotę,  
Szarą prozę — z poezją, z powagą — pustotę.

Jak barwny rój motyli pośród wróbli stada,  
W różowym mroku zorzy, gasnącej na niebie,

Wśród mężczyzn wdzięcznie błyszczy pięknych dam  
[plejada.

Ich szczebiot — jakby strumień, w kamienistej glebie  
Drogę z trudem rzeźbiący, wznosi się i pada;  
To srebrzystych dzwoneczków graniem się kolebie,  
To znów — o niepojętność męską się rozpryska  
I, jak dźwięczną kaskadą, — gamą śmiechu tryska.

Mężczyźni i niewiasty wzajem się nie znają:  
Ci — niedość uczuwają, te zaś — niedość czują;  
Spójrzcie tu i tam: pary młodzieńcze gruchają,  
Gruchają, lecz tajemnej gry serc nie pojmują.  
One do nich się tulą, to na nich gniewają,  
Ci zaś przyczyny zmian tych nawet nie zgadują;  
Natomiast, gdy on nogą jej nogę przycisnie,  
Nie czując tego wcale, żadna ani piśnie.

W liczniejszym kole gruby opat Benvenuto  
Zabawne przypowiaстки sypie, jak z rękawa,  
Pieprzem słówek dwuznacznych przyprawiając suto,  
Bo wielce się podoba damom ta przyprawa;  
Przy nim wieszcz Girolamo siedzi z miną strutą:  
O losy poematu dręczy go obawa, —  
Wczoraj czytał pieśń pierwszą, dziś drugą przynosi,  
Czeka, aż go poproszą, — ale nikt nie prosi...

Per Bacco! — Dzisiaj właśnie na tem mu zależy,  
Gdyż pieśń tę tworzył w celu poniekać... praktycznym.  
(Niechaj nikt tego miarą kupiecką nie mierzy:

Twórczość sama dla siebie jest celem wytycznym,  
Lecz, podobnie jak wicher, gdy nad ziemią bieży,  
Potężne drzewa prądem gnąc atmosferycznym,  
Chociaż bez względu na nas tak pędzi i fuka,  
Przecie.. mąkę nam miele, — tak samo i sztuka).

Trochę sławy nie wadzi i dochód się przyda...  
Lecz dziś mistrz Girolamo inne snuł nadzieje:  
Opisując przygody króla Gloryfida,  
W drugiej pieśni małżonki jego wieścił dzieje;  
Jak, opuszczona w zamku nowa Danaida,  
Pod złotym deszczem pokus w słodkiej żądzy mdleje,  
Jak, z pod przemocy więzów zazdrosnych zwolona,  
Wpada w sidła miłosne poety Cleona.

Romans ten, w barwną szatę poezji strojony,  
Opiewając wymownie cudzołóstwa czary,  
Był wyłącznie dla pewnych uszu przeznaczony;  
Miał się stać ową iskrą, co nieci pożary,  
W opornem sercu pewnej zbyt cnotliwej żony,  
Względem której wieszcz zdawna już rościł „zamiary“,  
A która była, mimo nieobecność męża,  
Mniej czuła dłań, niż Ewa, matka jej, dla... węża.

Któż znał piękniejszą, niżli hrabina Colonna!  
Spójrzcie: tam, na uboczu, cicha, zamysłona  
W jasnym śnie, złotowłosa wenecka Madonna,  
Zda się duchem już z ziemskich szat swych wyzwolona,  
Jako gwiazda — daleka, jak lilija wonna,

Niepokalanie czysta i biała, to — ona...  
Grzech kalać żądzą lilje, ale wdzięk ich senny  
Dla poetów, zaiste, tchnie żarem Gehenny.

Girolamo jest wściekły. Pieśń mu się udała,  
Zaś oczy pięknej pani, podkrążone cieniem  
I twarz jej, dzisiaj prawie, jak opłatek, biała,  
Zdają mu się wskazówką, że wraz z osłabieniem  
Wrażliwość w niej się wzmogła, a wola zmałała.  
Łatwiej zatem ją porwie słów dźwięcznych natchnie-  
[niem,

Wtenczas zaś... Lecz nie może zacząć nieproszony,  
Klnie więc w duszy i kręci się zły i zmartwiony.

W dodatku, jakby na złość, filozof Battista  
Słowami Epikura jął wychwalać życie,  
Mówiąc, że w niem jedynie wartość rzeczywista,  
Że próżno chcieć wieczności rozedrzyć spowicie,  
Gdyż droga to zawodna, niepewna i mglista...  
Poeta słuchał, słuchał, — wreszcie jadowicie —  
„Mędrcze, rzekł, duch jest tchnieniem, w tobie tchnie-  
[niem brzucha,  
Błagam cię więc, byś przy nas nie... oddawał ducha“.

Usłyszawszy to, opat pierwszy huknął śmiechem,  
Za nim młodzież, niepomna zasad konwenansu,  
Wreszcie damy stłumionem przywodziły echem...  
(Podkreślam: rzecz się działa w czasach renensansu).  
Filozof tem się stropił i zamilkł z pośpiechem,  
Księżna zaś, światowego pełna kontenansu,

Wnet pojęła, skąd napaść tak niespodziewana,  
Grzecznie więc pyta: „Mistrzu, gdzieś pieśń obiecana?”

Uśmiechnął się poeta z wyrazem godności,  
Spojrzał napoły dumnie, napół pobłaźliwie,  
Jak ów gospodarz, który, chcąc zadziwić gości,  
Po całym swym obejściu wodzi ich troskliwie.  
I próżno ci się bronią swym brakiem zdolności  
W ocenie, brakiem czasu, — muszą znieść cierpliwie  
Narzucone im zgóry nudne oględziny,  
Robiąc pełne zachwytu i podziwu miny.

Tak i tu, — wobec grozy długiej deklamacji,  
Ten chrząknął, ów dogodniej rozparł się w siedzeniu,  
Poczem zamilkli wszyscy, pełni rezygnacji,  
Udając, że w radosnem czekają skupieniu.  
Mistrz powstał, złożył wszystkim ukłon, pełen gracji,  
Objął wzrokiem hrabinę w niemem uwielbieniu,  
Wyjął gruby rękopis, z nim ku światłu zmierza,  
Wtem... głos jakiś obwieścił: Podana wieczerza!

Stał się rumor ogólny. Zręcznem uderzeniem  
Snadnie pragnąc się zemścić za żart nieprzystojny,  
Filozof z wyciągniętem uprzejmie ramieniem  
Ku hrabinie pośpiesza uśmiechnięty, strojny;  
Lecz, widząc to, wieszcz skoczył z takim oburzeniem,  
Z tak wyraźnym zamiarem rozpoczęcia wojny,  
Że chytry mędrzec, odwieść chcąc grożące ostrze,  
Zamiast uroczej damie podał dłoń—jej siostrze.



A było to dziewczątko — tak, w piętnastnej wiosnie,  
Figlarne, jak wiewiórka, a wdzięczne, jak kwiatek,  
Jak drobny polny kwiatek, co śród zboża rośnie:  
Wiotka ostróżka, wonny powój, czy bławatek, —  
Dzień cały szczebioczące bez troski, radośnie, —  
Jasne, jak słońko, miękkie, jako róży płatek,  
Czasem kapryśne, zawsze dobre — jak niebiosa:  
Siostra pięknej hrabiny, — Pepi złotowłosa.

Młodość jej, nieco starszej urokiem przyćmiona,  
Niezbýt licznych, jak dotąd, miała wielbicieli,  
Za to, potroszę samej sobie zastawiona,  
Umiała dostrzedz wszystko, gdy jej nie widzieli;  
I teraz, gdy filozof z wprawą Celadona  
Dowcipem komplementów zręcznych ją weseli,  
Choć niby słucha, niby śmieje się z nim sama,  
Lecz pilnie bada wszystkich, zwłaszcza — Girolama.

Ten zaś, by wynagrodzić swe niepowodzenia,  
Niewyśpiewane rymy w barwną przelał prozę,  
W kwieciste słowa strojąc nieskromne pragnienia,  
Opisywał hrabinie cierpień swoich grozę,  
I, śląc ku pięknej pani wymowne westchnienia,  
Patrzył na nią, wybaczcie mi, — jak wilk na kozę...  
Przyznaję, tak powiedzieć mógł by szewc lub cieśla,  
Cóż począć jednak, — gmin to najlepiej określa.

Na tak wyraźne uczuć głębokich przejawy  
Jakież serce nie zmięknie, jakaż nie drgnie cnota?...

Więc w miarę, jak wciąż nowe wnoszono potrawy,  
Jak ze dzbanów w kielichy spływała ciecz złota,  
Nadziemski wzrok — po ziemsku stawał się łaskawy,  
W anielskim głosie — ludzka zabrzmiała tęsknota —  
Tak, że w czasie deseru sąsiad niebezpieczny  
Postanowił przypuścić atak ostateczny:

„Słyszałem“, rzekł — „iż niegdyś grecy i rzymianie  
Mieli zwyczaj przy końcu wytwornej biesiady  
Oddawać cześć należną Muzom przez odlanie  
Z czar kilku kropel wina, jak też, w myśl zasady,  
Że hołdem dla natchnienia służy wykonanie  
Przez pieśni, lub poezji rytmiczne kaskady:  
W ślad dawnych mistrzów zatem pozwól mi, o pani—  
Muzo moja, bym taki hołd złożył ci w dani...”

Tu, niepotrzebnie winem splamiwszy podłogę,  
Zaczął opowieść, którą powtórzyć wam mogę:

„W dalekim kraju, za dawnych lat  
Był pasterz, — rodem z ubogiej chatki;  
Lice miał jasne, jak śniegu płat,  
Oczy zaś modre, jak dwa bławatki;  
Jak ptaszę, zawsze wesół i rad,  
Szczęśliwy, mimo nędzne dostatki,  
W dalekim kraju, za dawnych lat  
Był pasterz, — rodem z ubogiej chatki.  
Kiedyś, o zorzy, gdy z wiosną kwiatki  
Wonią czarowną poiły świat,

Strumienia cichej słuchając gadki,  
Ubogi pasterz utonął w śnie  
W dalekim kraju, za dawnych lat...

Ubogi pasterz utonął w śnie  
I czar mgłą złudzeń owiał mu oczy,  
A los, co kwiaty wichurą tnie,  
Sen mu nakreślił — sen, zbyt uroczy;  
Młodego życia radosne dni —  
Przepych marzenia niedolą mroczy.  
Ubogi pasterz utonął w śnie  
I czar mgłą złudzeń owiał mu oczy:  
Ujrzał, jak cudne dziewczę doń kroczy  
Po srebrnej fali w słonecznej mgle...  
Zbliża się... przebóg!... serce wyskoczy...  
Ust purpurowych upojna woń!  
Ubogi pasterz utonął w śnie...

Ust purpurowych upojna woń  
Nieznanych rajów otwiera wrota,  
Żarem płomieni pada na skroń  
Warg nieuchwytnych słodka pieścizna...  
Porywa duszę zawrotna toń,  
Pragnień zdradziecką sieć wkoło mota:  
Ust purpurowych upojna woń  
Nieznanych rajów otwiera wrota...  
Wiesz — li, pasterzu, co to tęsknota  
Snu minionego?... Szedłeś na błoń  
Z pieśnią... Gdzie teraz pieśni ochota?..

Dziś w mgle jesiennej utonął świat!  
Ust purpurowych upojna woń...

Dziś w mgle jesiennej utonął świat,  
Rani ubóstwo i niedostatki,  
A w sercu wiecznie krwawiący ślad  
Krwia warzy kwiatów wiosennych płatki...  
Na jasne lica kir smutku padł,  
Przybladły oczu modre bławatki:  
Dziś w mgle jesiennej utonął świat,  
Rani ubóstwo i niedostatki.  
O, pani, przebacz rym niedość gładki:  
I w mojem sercu sęp krwawy siadł,  
I jam snuł marzeń zdradliwe siatki,  
Chłonąc snów cudnych zabójczy jad...  
Dziś w mgle jesiennej utonął świat!"

Skończył. Spojrzał z ukosa: Piers pani nadobna  
Drżała, falą tłumionych wzruszeń kołysana;  
Na czarne oczy długich rzęs frędzla żałobna  
Opadła nisko, rosy perlami przybrana.  
Z tych oznak mistrz osądził, że chwila sposobna  
Do wyraźniejszych wyznań przyszła spodziewana,  
Lecz, wciąż bojąc się jeszcze obudzić płochliwość,  
Musiał nadal je stroić w poezję i tkliwość:

„Tyś jest moją tęsknotą, moim snem promiennym,  
Wysnutym niegdyś w zorzy poranną godzinę...  
Tyś jest mojem marzeniem i czarem wiosennym,

Którego nicią złotą opleciony — ginę...  
Szaleniectwo... który związał byt z majakiem sennym,  
Zaś podczas jawy, smutku przedać pajęczynę,  
Szara sieć swoją snuje bez końca... bez końca...  
I sądzi, że w nią schwytać zdoła promień słońca!

Tys dla mnie słońcem!.. o cóż słońce prosić mogę?..  
Powodzą blasków świata objąwszy krawędzie,  
Że w nich i mego życia pochłonęło drogę,  
Zem oslepl, — cóż stąd?... Słońce było, jest i będzie.  
Jeno hymnem pochwalnym w ognistą pożogę  
Wolno mi modlitewne posyłać orędzie...  
Pozwól mi więc, ty, boska, abym twojej chwały  
Wiecznie mógł nieudolnie śpiewać ci chorały!“

„Ależ, mistrzu.. niegodnam.. Tyle uwielbienia..  
Za co?... mnie tego nawet słuchać nie przystoi..“  
— „O pani, dzisiaj jeszcze wśród nocnego cienia  
Skrzydłem pieśni uderzę do twoich podwoi..  
I jutro... i pojutrze .. dopóki istnienia...  
Dopóki śmierć tęsknoty mojej nie ukoi,  
Pozwalając mi kędyś, wśród gwiazd srebrnej rzeki  
Uwielbiać bóstwo moje bez przeszkód... na wieki!“

Głos mu zadrgał. — Poeta był w nim poruszony  
I porwany słów własnych pieścizną wdziękiem.  
Ona słuchała cicha, — jeno wzrok spuszczonej  
Podniosła i patrzyła nań jakgdyby z lękiem  
Myśli, która, nie mogąc znaleźć słów obrony,

Ukołysana rytmem, upojona dźwiękiem,  
Bezsilna oniemiała. Zapadło milczenie:  
Sprytny wieszcz mógł je snadnie wziąć za... przyzwo-  
[lenie.

— A teraz — co?... przemknęło nagle mu przez głowę:  
Milczeć?... to ją ocuci, wyrwie z odrętwienia  
Uśpioną myśl i rzuci na usta — odmowę.  
Mówić?... o czym? — Przedwczesne zacząć dziękczy-  
[nienia,

To ją zrazi.. Postronną rozpocząć rozmowę?...  
Tem w szczerłość uczuć można obudzić wątpienia...  
Ręka, po strun serdecznych mocnem uderzeniu,  
Winna zniknąć, by został czar... w niedomówieniu.

Co tu począć? — Na szczęście los, poprzednio wraży,  
Snać się zmienił, przychylnym darząc go uśmiechem;  
Jeszcze bowiem rumieniec nie zniknął z jej twarzy,  
Jeszcze słowa ostatnie powracały echem,  
Nagle rozległ się szelest zwijanych wachlarzy:  
Księżna powstała,—za nią goście... Wieszcz z pośpie-  
[chem

Człowieka, w którym burza szaleje sercowa,  
Zerwał się, skłonił nisko i... zniknął bez słowa.

. . . . .

W błękitną noc, szeregiem niesione pochodnie,  
Niby komety, w dymów omgleniu złowieszczem,

Krwawym połyskiem trwożą stojące pogodnie  
Przydrożne drzewa, liście ich przejmując dreszczem;  
Wśród nich, na rękach służby chwiejąc się wygodnie,  
Płynie lektyka, iskier osypana deszczem,  
A w lektyce hrabina z siostrą w cztery oczy  
O wrażenia wieczorne małą sprzeczkę toczy.

Dziewczynę dziś bies jakiś opętał niesforny:  
Pierwszy filozof żądła jego padł ofiarą;  
Gdy bowiem w komplementach niedość był pokorny,  
Zbyt często mierząc zachwyty własnych zasług miarą,—  
Zasługi te uznano za punkt wielce sporny,  
Mądrość wobec poezji nazwano... poczwara,  
Godną by ją w pogardzie miała każda dama,  
Przyczem na wzór mu dano... mistrza Girolama.

Filozof się obraził.. Pepi nadała...  
Pożegnali się chłodno, srodze poważnieni.  
Teraz znów, kiedy siostra w rozmarzeniu cała,  
Dotąd pieszcząc się w myśli echem słodkich pieni  
Usłyszanych, przez pierwsze pół drogi milczała,  
Dziewczę, jakby jej zmącić chcąc falę promieni  
I zerwać bezlitośnie upojeń nić złotą,  
Niepytane — wręcz wieszczą nazwało... idjotą.

Któż zbadał dusz niewieścich kapryśne półcienie,  
Ruchliwe — jak szeroka fal morskich płaszczyzna,  
A zwodne — jak bladego miesiąca promienie?...  
Ich gry tajemnej nigdy nie pojmie mężczyzna:

Z zewnątrz zwiodą go piany, wiry, tęcz pierścienie,  
Wewnątrz zaś takich dziwów tai się ojczyzna,  
Tak dokładnie rzecz każda kształt wrodzony zmienia,  
Że nawet słońca twarz by zmierzchła ze zdumienia.

Z marzeń swych obudzona w sposób tak niemiły,  
Hrabina rozpoczęła spór ostry z dziewczęciem  
I, broniąc mistrza, tyle w to włożyła siły,  
Tyle dała dowodów i z takim przejęciem,  
Że, choć treść ich zawiła, wymownie świadczyły,  
Jak blizkiem to jej sercu było przedsięwzięciem!..  
Tak blizkiem, że—w bezstronność ich nie dając wiary,  
Pepi ziewnęła z twarzą znudzonej ofiary —

Mówiąc: „Siostrzyczko, wzrusza mnie twoja wymowa,  
Lecz, co do Girolama, ciągle mi się zdaje,  
Że kto naprawdę kocha,—nie bawi się w słowa,  
A kto tak wiele gada, — ten poprostu... baje.  
Niech serce twoje do mnie urazy nie chowa,  
Gdy każda z nas przy swoim zdaniu pozostaje:  
Dla ciebie słowa jego są — uczuciem szczerem,  
A dla mnie—pustym dźwiękiem, on zaś... zwykłym ze-  
[rem,

Nadętym głupcem, który przez zarozumiałość,  
Czy z nudów — błyskotliwym gadaniem się bawi;  
Dbając tylko o wdzięcznej formy doskonałość,  
Misterne dźwięki wiąże i... pychą się dławi.  
A że tam ktoś uwierzy w uczuć kłamnych stałość,



Że tak rzucona iskra serce czyjeś strawi,  
— Tem lepiej.. toć talentu dowód oczywisty:  
Uczczona próżność pawia i — chłód egoisty“.

„Ależ Pepi, — co tobie?... Ty go — kochasz pono?...“  
„Ja! skąd znowu!“ — „Pepito, nie kłam, — ja to widzę...“  
Na to, wznosząc ku siostrze twarzyczkę spłonioną,  
Zachnęła się Pepita: „Ja go... nienawidzę!...  
Niech go sobie ta kocha, której to sądzono...  
Ja go nie chcę... miłością gadułów się brzydzę!...“  
— „Uspokój się, — dzieciaku...“ — „Ach, nie nudź  
[mnie—proszę!“  
Parsknęła; — a w tej chwili postawiono nosze.

Milcząc siostry wysiadły i sień pałacową  
W milczeniu przeszły, w dalsze zdążając komnaty.  
Twarz pięknej pani chłodną była i surową;  
Twarz dziecka kryły jeszcze rumieńców szkarłaty;  
Obie snąc poruszone przerwana rozmową  
I obie z niej — nierade. Dalsze zaś debaty,  
Jeśli były, — zacisze sypialni je skryło,  
Jeśli były... ja sędzę, że ich już nie było.

II.

Noc letnia, noc krótka, i srebrna, i cicha,  
Jak senna hetera, pragnieniem zmożona,  
Ku ziemi lubieżne wyciąga ramiona  
I kwiatów pijanym wyziewem oddycha.

Kto dzisiaj rozkoszy nie spełni kielicha,  
Kto dziś nie przytuli kochanki do łona,  
Kto zaśnie samotny, gdy w żądy świat kona,  
W tym krwi chyba zbrakło i serce usycha.

Już dźwięki serenad wśród drzew się kołyszają  
Na skrzydłach motyli w miesięczne zawieje  
I wabią, i pieszczą, i ogniem serc dyszą,

A księżyc spogląda i śmieje się... śmieje...  
Przez okna zamknięte do komnat się wdziera  
I serca zamknięte niewoli, otwiera...

Srebrzystą pieszczotą, jak kotka, się pieści,  
Po barwnym się ściele dywanie —  
Niewinny, a słodki, jak uśmiech niewieści,  
Już łoża dosięga, w jedwabiach szeleści  
I szepcze do uszka... wyznanie.

W drzew cieniu za oknem pieśń cicha zawodzi  
I tak się z oddali przymila:  
Ach, otwórz je... wyrzyj... na chwilkę... nie szkodzi,

Sen szczęścia tak krótki, tak krótkośmy młodzi...  
I często się okno uchyla.

Uchyła się okno bez szmeru... powoli...  
W pomroce cień jasny migocze...  
Pieśń milknie... szept krótki... śmiech lekki swawoli...  
Krew kipi... mrok zbliża, — nim żądza zespoli,  
Nim spłoną złudzenia urocze.

Tak bywa... Lecz są też i serca z kamienia:  
Nie wzrusza ich pieśń, ani granie, —  
Ich okna zamknięte na wszelkie westchnienia,  
Odporne na czary srebrnego promienia,  
Na nocy miesięcznej wołanie.

Ach!... posłuchajcie:

Przed oknami pięknej pani  
Śpiewa, śpiewa mandolina,  
Głos jej ginie w gwiazd otchłani...  
Przed oknami pięknej pani  
Pieśń zaklina... pieśń przeklina...  
Krwia serdeczną tryska w dani...  
Przed oknami pięknej pani  
Śpiewa, śpiewa mandolina...

Kto tak śpiewa?...  
Nocka cicha

Drży pieszczonych dźwięków gamą:  
Ktoś na serce czyjeś czycha...

Któżby inny?...

— Girolamo.

„Pani!... pani!... Oczy twoje  
Czarne gwiazdy, — dwa motyle...  
Błysną, — snów tęczowe roje  
Ogarniają serc tysiące:  
Westchnień tyle... tęsknot tyle!...  
Śladem twoim ciche, drżące  
Szepty płyną... giną w pył!  
Ty — nie słyszysz ich...

„Usta twoje, — twoje usta  
Zórz purpurą malowane...  
Czy wesołość na nich pusta,  
Czy w tęsknocie zadumane:  
Pocałunków snem owiane  
Twoje usta...

„Włosy twoje pieści słońce... mniej słoneczne, niż twe  
[włosy!...  
Idziesz biała pośród kwiatów, — do stóp kwiaty ci się  
[kłonią,  
Posypując drogi twoje djamentowym pyłem rosy,  
Ścielać się pod stopy twoje w niemym hołdzie słodką  
[wonią...

„Ponad tobą w górze krążą  
Białem stadem chmur łabędzie, —

Zanim w dali się pogrążą,  
Sypiąc białe piórka wszędzie,  
Kędy krążą...

„Lecz skąd przyszły, — dokąd dążą,  
Nigdy wiedzieć nikt nie będzie...  
Poco gonić chmur łabędzie, —  
Czy nas jedne losy wiążą?...  
Wspólne losy: — wiatr nieznany,  
Wiatru kaprys niezbadany...

Kaprys wiatru?...

Oto leci  
Orłów szlakiem,  
Woli znakiem  
Iskrę nieci;  
Serca pęta  
Moc zaklęta, —

Goni w bój  
Nieubłagany,  
Mimo rany,  
Mimo znój!...

Lub powiewa  
Tęcz drogami,  
Stu głosami  
Gra i śpiewa...

Serca ciszę  
Czar kołysze,

Goni w kraj  
Zakłętej baśni,  
Niby w jaśni  
Złudny raj!...

Lub rozsnuwa  
Się kochaniem,  
Miłowaniem  
Serca skuwa;  
Rozmarzone,  
Rozognione,

Goni w toń,  
Gdzieś w toń bezdenną  
Przez jesienną  
Tęsknot błoń!...

„Nigdy wolne serca ludzi, —  
W boju, w sztuce, czy w miłości:  
Zawsze obca moc w nich gości,  
Czasem pieści, czasem trudzi,  
Czasem trwoży, czasem nudzi,  
To usypia, to znów budzi  
Ręką bólu lub radości,  
A wiatr pędzi... Bez litości  
Pędzi...

Przeczęzcie mnie do stóp  
Twych rzucił, serca łamiąc wolę, —  
Skoro cię z innym związał ślub  
Na dolę i niedolę?...

Bodajbym zmarł o zorzy dnia, gdym po raz pierwszy  
[spotkał ciebie,  
Bo lepsza śmierć, niż taki los: na serca swego żyć  
[pogrzebie...  
Nie pragnę nic, — do twoich stóp rzucę ci żywot mój  
[z ochotą,  
Mój nędzny żywot, moją pieśń z nieukojoną jej  
[tęsknotą!  
Jeno mi ukaż jasną twarz na chwilę szczęścia, słońca,  
[wiosny,  
A pójdę z nią przez mrok i noc — w niedoli mojej tak  
[radosny...“

Zamilkł i czekał; lecz na zew  
Odrzekły jeno liście drzew,  
Szeleszcząc długo i żałośnie,  
Jakby współczując mu litośnie.

Daremno... Tętno młodej krwi  
Z takiego drzew współczucia drwi,  
Gdy serce wali, jak obuchem,  
Do ukochanej drzwi,  
Zaś okno, pozostając głuchem,  
Jak lodu tafla, lśni  
W miesiącu...



Więc znów zaczął: —

„Tyś marzenie,  
Jak daleki obłok w niebie:  
Próżno w górę słać spojrzenie,  
Próżno w męcę trawić życie,  
Czem ofiara ta dla ciebie?  
Nie dostrzegasz jej w błękicie.

„Tyś daleka... Przech na ziemi

Życ kazano ci  
I drogami dolinnemi  
Wlec poemat dni?  
I tęsknotę siać dokoła  
Zjawą rajszych pól,  
Gdy niewiastę — nie anioła  
Widzi w tobie ból..  
Blaskiem twym oślepię dusze  
Upadają w pył  
I spodlony przez katusze  
Człowiek klnie, co śnił —  
— Przeklina  
Zbyt uroczy wid...  
Litość miej!.. Oto godzina:  
Blizki świt..  
Ach, otwórz!..  
Milczysz...

Bądź mi przeklętą  
Za oną mękę, za ono kochanie,  
Które pożarem serce mi trawi,



Za czarnych oczu twych czarowanie,  
Za włosy, w których słońce się pławi.

Za ust twych krwawą słodycz granatu,  
Która rozkoszy złudą nas pieści,  
I za twój cudny urok niewieści,  
Urok „anioła, dziecka i kwiatu“, --

Bądź mi przeklętą!..

Czołem uderzę,  
Do rannej zorzy szepcząc pacierze,  
Do owych blasków, które zapłoną  
Nad domem twoim złotą koroną, --  
Bliższe mi one, niż ty!..

A może

Modlitwę moją zwróca ci zorze,  
Z perłami rosy kładnąc na łono..  
Jutrzenko moja,  
bądź uwielbioną!..

Żegnaj mi..“

Oto białą zasłoną  
Tuman się wznosi, — już niebo blednie,  
Już gwiazdy gasną, — w górze mgła rzędzie,  
W seledynową bezdeń się wspina,  
Różem się płoni.

Dzień się zaczyna,  
— Dzień wschodzi!..

Przed oknami pięknej pani  
Pieśń zawodzi:  
Dźwięki płyną — niesłuchane,  
Okna milczą — obojętne,  
W pozłocistą toń rozwiane  
Giną pieśni echa smętne..

Śpiewak odszedł, — ale wróci:  
Zakochani są, jak zmora;  
Pewno dziś — już od wieczora  
Pieśń zanuci..

.....  
Zna dobrze uwodziciel nocy letniej czary ..  
Oto zdawna ostatnie już zagasły zorze  
I ptaków szczebiotliwe umilkły pogwary,  
I duch gwiazd zbudził pieśnią wszystkie światła Boże, —

Minęła północ. — W mroku kwiatowe kielichy  
Zwilżyły spiekłe wargi słodkich ros nektarem  
I, prężąc się w porywie pożądań i pychy,  
Każą gwiazdom całować łona tchnące żarem —

I, zda się, upojone własnym aromatem,  
Z uwięzi łodyg rwą się w jakiś tan zawrotny;  
Z ukrycia wyrzwał księżyc i płynie nad światem  
W srebrzystej łodzi swojej błądy i samotny;

Ciepły wietrzyk cichutko pośród drzew szeleści,  
Kędyś w cieniu fontanny krople w marmur dzwonią,  
Świat już zasnął.. W ekstazie własnym snem się pieści,  
Ukołyszany blaskiem, i pieśnią, i wonią;

I ludzie pono pierwszych snów mijają progi,  
W których dusza napoły z ciała się wyzwała  
I własnym płynie światem, przez błękitne drogi  
Płynie tam, gdzie ją niesie umiłowań fala.

Zna dobrze uwodziciel nocy letniej czary,  
Boć o tej właśnie porze pieśń jego gorąca  
Okien wybranki ciężkie przenika kotary  
I wdziera się do komnat jej słodka i drżąca:

O tej porze trosk dziennych już gaśnie wspomnienie,  
Lód rozsądku w ognisku marzeń się rozplływa,  
Wyliczenia znikają, — zwycięża pragnienie  
I łatwiej, niż na jawie, wszelkie więzy zrywa.

Hrabina śpi; — a nad nią w mroku z lic Madonny  
Patrzą oczy surowe w modlitewnej ciszy,  
Lecz próżno jej ślą hufiec aniołów ochronny  
Do walki z tem, co w piersi żądz płomieniem dyszy,

Próżno szepczą: „Mgła dolin na ciebie nie padnie!..“  
Bo oto księżyc zajrzał przez wążiutką szparę  
I na sennych powiekach pocałunek kładnie:  
„Zbudź się, otwórz oczęta i odchyl kotarę!..“

I nie wiem — pocałunkiem, czy pieśnią zbudzone,  
Powieki drgnęły, — atlas zaszeleścił zmięty  
I oto, długich rzęs welonem otulone,  
Błysnęły czarnych źrenic uroczne djamenty.

...Twoje oczy, — ach, oczy!... Pieśń za oknem dzwoni,  
Snów anielskich ostatki rozwiewa i płoszy, —  
Pieśń dzwoni .. hen, w miesięcznej urodzona toni  
Z nienasyconych pragnień pijanej rozkoszy...

Piękna pani się zrywa i słucha: Głos znany...  
To — on... W pamięci postać poety, jak żywa, —  
Już widzi go, jak stoi, w poświęcie skąpany,  
Tak blisko... tuż za oknem... i śpiewa... i wzywa...

Ach, spojrzuj: u stóp łoża czy gwiazdka migocze,  
Czy różem wiosny błysnął wonny kwiat jabłoni,  
Czy białem skrzydłem motyl płochliwy trzepocze?  
To — nóżka pięknej pani pantofelek goni —

Jeden... drugi... i oto z marzeń sennych niszy  
Ku oknu płynie obłok świetlany i wonny...  
— Surowe oczy, pełne modlitewnej ciszy,  
W krasnym półmroku lampki patrzą z lic Madonny...

Jeszcze chwila... dłoń trwożna po kotarze przemknie,  
Komnatę w złudnych blasków odda panowanie...  
Jeszcze chwila... już okno samo się odemknie...  
Jeszcze chwila... a potem — kto wie, co się stanie. .

O, pieśnił... serc niewinnych szatańska zwodnico,  
W misternych słów girlandzie żywą krwią tętniąca...  
Biada tym, którzy czarem twoim się zachwyca:  
Zatruty kwiat oslepia ich i w przepaść strąca.

Biada im!... Albo raczej niech błogosławioną  
Będzie słodka trucizna kwiatów zapomnienia, —  
Ich jad, co życia troskę tęczową zasłona  
Choć na chwilę przykrywa, a świat w niebo zmienia.

Kto mi powie, czy lepiej całe długie życie  
W szarzyźnie cnót z dnia na dzień mgłą jesienną płynąć,  
Czy lepiej tak zakwitać, jak wiosna w rozkwicie:  
Szaleć, kochać i śpiewać i... w przepaści zginąć, —

Kto mi powie, co lepiej?!... Piękna pani nie wie,  
Waha się, — cień rozterki zasnuwa jej lice..  
Tam — zda się całe szczęście jej zaklęte w śpiewie,  
Lecz tu — tak groźnie patrzą Madonny źrenice...

W zaświatowej zadumie wyniosłe, dostojne,  
Od serca niewieściego porywów dalekie,  
Patrzą te oczy, w boskość niedostępną zbrojne,  
W tę boskość, która dusze potępia kalekie;

W boskość, która snąć na to ułomności tworzy,  
By z cierpień ich, z upadków krwawą mieć igraszkę,  
Która wciąż śmiercią — dusze nieśmiertelne trwoży  
I jak głupiec — obraża się o byle fraszkę;

O panowanie swoje nad światem zazdrosne,  
Patrzą wzrokiem krwawego Bizancjum despoty...  
Zmrożone serce w piersi trzepocze żałosne  
W lęku, że śmiało pragnąć szczęścia i pieszczoty...

O, Maryjo!... piastunko zwycięskiego ducha,  
Ty — Morze, w którym życia błysnęło zaranie  
I z fal którego ogniem w błękity wybucha  
Duch, z życia wyzwolony na wieczyste trwanie,

Czemże Cię uczyniło ludzkie obłąkanie?!...  
Tyś — Prawem dla nas,—ono praw Twoich nie słucha  
I stałaś się szatanem, a przy pojęć zmianie  
Imię Twe przeciw Tobie — czemś nakształt obucha...

Wszak z Tobą się zespolić i pracować razem,  
Z pieśnią Twych fal złąć duszę w harmonijnem  
[brzmieniu,  
Umieć współczuć ze zwierzem, z rośliną i głazem,  
Z człowiekiem i z aniołem w jedynem dążeniu

Do prawdy, — oto mądrość;—nie złudzeń swych błędy  
Ubóstwiać, na ich obraz Boga tworząc w niebie,  
By dla wygody twórców swych wciskał się wszędy  
I gnębił, kogo tylko wskażą mu w potrzebie.

Zresztą... niech każdy wierzy tak, jak mu się zdaje:  
Wszak tylu już się trudni zbawianiem człowieka,  
Że jeśli świat dotychczas nie zmienił się w raje,  
Toć chyba sam jest winien... niech więc nie narzeka!

Po co płaczesz, hrabino! — Człowiek niekochany  
Przeciw woli cię powiódł niegdyś do ołtarzy,  
Lecz kapłan ręce związał, w niebie akt spisany,  
U łoża małżeńskiego stanął Bóg na straży, —

Wracaj przeto czempzędzej do świętej łożnicy,  
Porzuć okno, szatańskich pokus jadem tchnące...  
A ty — o, Panie — przebacz niegodnej grzesznicy, —  
Przebacz zdrożnym porywom krwi młodej, gorącej, —

Przebacz... O, biedne serce!... Próżno pieśń tam płacze,  
Próżno czarem melodji pieści i upaja...  
O, biedne serce... ono o litość kołacze,  
Za niespełnioną winę przed sędzią się kaja!

U stóp Madonny klęcząc, pani wśród pacierzy  
Przysięga, że gdy tylko świt zabłyśnie złoty,  
U krat konfesjonału czołem w proch uderzy,  
Iż śmiała pragnąć chwili szczęścia i pieszczoty...

.....  
Nareszcie przez zórz wrota weszło złote słońce...  
Pieśń ucichła — z pod okna znikł śpiewak okrutny:  
O, gdyby wiedział tylko, jakie łyż palące  
Wycisnęła pieśń jego, — nie był by tak smutny.

Gdy poszedł, piękna pani poczuła dość siły,  
By powstać... Jak kwiat zwiędły w jesiennym podmuchu,

Jak łania, którą strzały myśliwych skrwawiły,  
Tak modlitwą złamana i osłabła w duchu.

Bo próżno ciszę trwożnem zakłócać wołaniem, —  
Gdy modlisz się, płomieniem ducha w niebo gorzej;  
Modlitwa jest nad wszystko z wolą Bożą zlanie,  
Nie — praw ludzkich obroną przeciw woli Bożej!

Klasnęła w ręce. Rzeźkie wbiegły służebnice;  
Lecz, gdy szczebiocząc okien podniosły zasłonę  
I ujrzały pobladłe bezsennością lice  
I oczy swojej pani smutkiem podkrążone,

Wnet zgasła ich wesołość. — Stanęły zdumione,  
Przeczuwając w tem jakąś serdeczną tęsknicę,  
Ale pytać nie śmiały: ból nosi koronę  
Cieniową i monarszą w sobie tajemnicę.

„Ciemne szaty mi dajcie i czarne przybranie  
Na włosy, — do spowiedzi pójść mi dziś wypada“,  
Rzeczce pani, — „powrócę później na śniadanie“.

Milcząc spełniają rozkaz; lecz każda z nich bada  
Z ukosa twarz jej smutną i dziwi się zmianie,  
Nie wiedząc, skąd łzy w oczach i czemu tak blada,

Gdy noc była tak piękną... piękną, jak — kochanie...

---



III.

W sklepięń kościelnych tajemnym półmroku  
Blask fioletowych snuje się witraży:  
Falą rozwianą, jak gdyby w obłoku,

Pełza po rzeźbach złocistych ołtarzy,  
Na biel obrusów szlak rzuca żałobny,  
Skrami sinemi w kryształach się żarzy,

Smutny, jak *requiem*, i smutkiem ozdobny,  
W cichej żałości i wielkiej tęsknicy  
Do zórz gasnących wieczorem podobny.

Ranek był wczesny. Gdzieś w bocznej kaplicy  
Ksiądz mszę odprawiał; dziad ziewał ukradkiem,  
Służąc mu; kilka chłopek z okolicy

Szeptąło pacierz. U okna przypadkiem  
Zbłąkany szerszeń gniewnym huczał basem,  
Skupień nabożnych nie zwykły być świadkiem.

Wtem, drzwiczki w kruchcie zgrzytnęły z hałasem:  
Z mroków zakrystji, niby duch z otchłani,  
W czarnym welonie, szeleszcząc atłasem,

Z pokornym wdziękiem przeleknionej łani  
I z twarzą, która cierpienie wyraża,  
Krokiem zmęczonym wchodzi piękna pani;

Zbliża się zwolna i do stóp ołtarza  
Przypada, drżąca, jak jesienne liście,  
Jak zwiędłe liście łzawych drzew cmentarza.

Msza dobiegała końca.—Uroczyście  
Zabrzmiało *ite* w sklepieniu wysokiem;  
Kościelny w piersi grzmotnął się ogniście;

Ksiądz do zakrystji wolnym ruszył krokiem;  
Pani powstała,—idzie doń łękliwie,  
O spowiedź prosząc z westchnieniem głębokiem.

Ksiądz to był stary; spojrział na nią tkliwie,  
Jak dobry pasterz, i uśmiech prostaczy  
Twarz mu ozłocił—i rzekł dobrotliwie:

„Chwileczkę pani zaczekać tu raczy,  
Wnet się przebiorę i służyć z ochotą...  
Tam—konfesjonał“. Krzyż w powietrzu znaczy

Nad biedną głową zbolałą i złotą  
W czerni koronek miękkich włosów złotem,  
Oczu łagodną owiał ją pieśczętą

I znikł... Po chwili zjawił się z powrotem,  
Gotów wysłuchać i z wiarą w natchnienie  
Boże osądzić i rozgrzeszyć potem.

Z kościelnej ciszy wiało ukojenie,  
Lecz, choć ból pierwszej rozterki już minął,  
Trudno przed obcym obnażać sumienie;

To też początek w szepcie się rozplynął  
Niejasnym: strzępy zdań niedokończone  
Padają... sens ich pośród westchnień ginął:

„Ach, ojciec... serce moje tak zmęczone...  
Ty widzisz... serce, niemal od kołyski  
Ujęte w obręcz,—więzami ranione,—

Poddane w obcych nakazów uściski...  
Niby szczęśliwe... sądzą ludzie.. ślepi!..  
Wszystko to próżnia, nuda, zwodne błyski...

Dlaczego inne.. siostra moja, Pepi,—  
Pieszczoszka matki... zawsze roześmiana,  
Swobodna... wszystko, co robi, — najlepiej...

A ja?... We wszystkim i zawsze spętana...  
Jeno mi płakać wolno!... Gdy tak ślicznie  
Dokoła, — chodzę smutna i zbłąkana...“

Ksiądz przerwał: „Dziecko, mówisz chaotycznie,  
Zbierz myśli, — spocznij: zrozumieć nie mogę!  
Później mi rzecz twą wyłożysz krytycznie,

Bym ją rozpoznać mógł i wskazać drogę“.

Wtedy już falą pomknął szepc niewieści  
Przez pustej nawy ciszę modlitewną, —  
Skargą bezradnej, dziecięcej boleści,  
Skargą człowieczą, — niemocną i rzewną,

W długo tłumionych uczuć opowieści:  
Ludziom się zdaje, że w barwnym potoku  
Istnienia możliwych tak wiele uroku, —  
Gmin cuda dworskie między bajki wkłada...  
Ach, bo nie znają, stojący na boku,  
Zimnej mądrości hasła: nie wypada...

W imię tradycji i rodowej cześci,  
Chcąc wiek snuć przyszłość, przeszłości pokrewną,  
W nudzie pałaców myśl jedna się mieści:  
Ujść przed opinią zazdrosną i gniewną,  
Zachować formę zapomnianej treści.  
Bo, strzegąc swego pierwszeństwa w natłoku,  
Każdy tam zawsze czuje się na oku,  
Wie, że zawistna go śledzi gromada,  
Więc się zamyka, jak Jowisz w obłoku,  
W zimnej mądrości hasła: — nie wypada...

W tym świecie, rzadko się dziewczęta pieści,  
Bojąc się zbudzić serca nutę śpiewną,  
Za to się chroni je od każdej wieści  
O życiu: każda jest śpiącą królową,  
Której do świata... gór i rzek trzydzieści!...  
Aż wreszcie, kiedy w dojrzewania toku  
Prawda im sama staje na widoku,  
Wtenczas to — krewnych ogłasza narada:  
„Czas za mąż!” — Nie daj Boże... krwi wyskoku!  
W zimnej mądrości hasła: — nie wypada...

Gdy wiano znaczne, częstokroć już w roku  
Najbliższym mąż się znajduje gdzieś w tłoku  
I... tak się kończy dziewictwa ballada,  
Za wolą Bożą, z rodziny wyroku,  
W zimnej mądrości hasła: — nie wypada...

Jedna się kończy, a druga — zaczyna  
I dalszych losów dzieje opowiada:  
O tem, — jak miłość poznaje dziewczyna,  
Gdy obcy sercu człowiek nią owłada  
I do swych pragnień strwożoną nagina...  
Jak jej dziewczęcych snów różane zorze  
W rzeczywistości jaskrawym kolorze  
Gina, a wzamian, w dni nowych posiewie,  
Ból i srom rzuca jej małżeńskie łoże ..  
Zali to właśnie szczęściem ma być, — nie wie!...

Nad życiem szary tuman się rozpina,  
Tęsknota błądzi, skarży się i biada,  
Wiosennych kwiatów urok mrozem ścina,  
A potem w mroku jasną bajkę składa  
Miłosnym szeptem... upojeniem wina...  
Wstają marzenia bezkresne, jak morze...  
I — ostrzem buntu rozpacz serce porze,  
Krwią jego zgasłe podsycą zarzewie,  
Aż ogniem buchnie i strawi obroże...  
Zali to właśnie szczęściem ma być, — nie wie!...

Tak trwa, aż wreszcie przychodzi godzina:  
Głos jakiś dźwiękiem znajomym zagada,

Co dawnych pieśni echa przypomina...  
Budzi się dusza strwożona i blada, —  
Słońcem zabłyśka niebios otchłan sinal...  
Droga się ściela w świetlane przestworze...  
Ale... na progu tej drogi, jak w zmorze  
Śmiertelnej, mroczna postać staje w gniewie,  
Mieczem ognistym kreśląc prawo Boże...  
Zali to właśnie szczęściem ma być, — nie wiel...

Więc gdzież jest prawda?... W małżeńskiej komorze,  
W związku, którego ludzka moc nie zmoże,  
Czy też... w tętniącej krwi wiosennym śpiewie!...  
Czy też, — w dozgonnem konaniu... w klasztorze...  
Zali to właśnie szczęściem ma być, — nie wiel..

Płaczem skończyła... Starzec był zdumiony:  
Sądził, że „casus“ będzie osobliwy,  
A spotkał... skargi obojętnej żony.

Tyle ich w życiu wysłuchał cierpliwy,  
Boć, rzecz wiadoma, — szczęścia ptak błękitny  
Jest, jako żóraw, czujny i płochliwy,

Pozornie blizki, — zawsze nieuchwytny:  
Gonić go, — później płakać nad zawodem,  
Trzeba w tem niewiast mieć upór zaszczytny.

Biedne ich dusze... Gnane wrażeń głodem,  
Przez marzeń światy lecą poetyczne,  
Niby motyle nad barwnym ogrodem,

Albo też... niby szare ćmy — praktyczne  
Krażą nad lampą i — pracują głową,  
Jakby w nią skrzydła wepchnąć... romantyczne.

Tak!... romantyzmu właśnie jest osnową  
I treścią w próżnię spoglądać wytrwale  
I patrząc, widzieć rzecz coraz to nową,

Gdzie... guzy pewne, lub niema nic wcale...  
Zresztą, — zbyt uczna w Polsce o tem gadać,  
Tam chyba znają ten stan doskonale!...

Gdy piękna pani przestała już biadać,  
Książdz, rzeczy świadom, wnet rozpoczął gładko  
Płastrami nauk duszę jej okładać:

On, jako pasterz dbały o swe stadko,  
Z żalem uwagę pani zwrócić musi,  
Że jej zadaniem być żoną i matką!

Reszta — jest niczem: niech więc w sobie zdusi  
Wszelkie fantazje i grzeszne pragnienia,  
Niech wie, że głosem ich szatan ją kusi...

A zresztą, jeśli cnoty nie ocenia,  
Niechaj pomyśli, że słodycz pozorną  
Występku wieczne okupią cierpienia:

Jest wprawdzie młodą, piękną i wytworną,  
Lecz Pan Bóg zasług tą miarą nie mierzy:  
Niechże nad wszystko więc będzie pokorną;

Gdyż stokroć lepiej w żebraczej odzieży  
Po ziemi włóczyć nędzę i brzydotę,  
A wzrok od ziemskiej odwracać rubieży,

Niż, piękną będąc, przez próżną głupotę  
Szukać oczyma zwierciadła jedynie,  
Aby w niem ciała uwielbiać sromotę...

Tu nagle — zbrakło wątku starowinie.  
Trudno dowody snuć matematyczne,  
Gdy myśl zmęczona leniwo już płynie.

Szczęściem i na to są środki rozliczne  
(Trybunów ludu sztuka je odgadła),  
Zaś nazwa ich „dygresje patetyczne”.

Rzekł więc po chwili: — „Ach, gdyby widziadła  
Piękności zmarłych z mogił się podjęły  
I, precz śmiertelne zdarłszy prześcieradła,

W nagości trupiej przy nas tu stanęły.  
Możeby wtedy oczy twe złęknione  
Całą nikczemność urody pojęły



I od zwierciadła, ku niebu zwrócone,  
W błękit się wzniosły — jak oczy anioła...  
Ty nie znasz śmierci: — ja ci jej zasłonę

Odchylę... Słuchaj: —

Na zamku wesoła

Wre uczta; gości przy stole tłum zwarty;  
Z ust do ust falą śmiech dzwoni dokoła,  
Sypią się słówka dwuznaczne i żarty;  
Z kryształów wino sperlone wytryska,  
Girlandy kwiatów, djamentów ogniska...  
Krew tętni w skroniach, przed wzrokiem tumany:  
Spojrzyj, — przy tobie twój paż, twój wybrany...  
Drży serce, uczuć porwane lawiną,  
W uszach ci pieśnią gra szept rozkochany...  
A chwile płyną i płyną i płyną...

Wtem — śmiertelnego dotknięcie anioła:  
Wir w oczach, ciemność, dech w piersi zaparty,  
Duszno; krtań głosu wydobyć nie zdoła,  
Zimny pot zlewa twarz, bielszą od karty,  
Serce ci jakiś okropny lęk ściska:  
Chwiejesz się... padasz... dłoń chwyta cię blizka...  
Jak we mgle błysnął wzrok męża stroskany;  
Zaledwie słyszysz chór głosów zmieszany;  
Jakieś widziadła zjawiają się, — giną...  
Nozdrza ci ocet łaskocze rozlany...  
A chwile płyną i płyną i płyną...

Anioł się zbliża, — już czujesz u czoła  
Kir jego czarnych skrzydeł rozpostarty.  
Młodość i miłość do życia cię woła;  
Bunt przeciw śmierci wre w piersiach uparty —  
Wszystko — napróżno!.. Dłoń chłodna i ślizka  
Dławi cię, zgina, do ziemi przyciska,  
I oto leżysz, — kwiat zwiędły, złamany..  
Z okien tymczasem blask szary na ściany  
Kładnie się drżącą świtu pajęczyną:  
Wstaje dzień nowy, — jak wczoraj, — bez zmiany...  
A chwile płyną i płyną i płyną...

Dzień mija. Pada noc czarna, jak smoła:  
Na katafalku samotny wśród warty  
Kleryków sennych i bab z pod kościoła  
Leży trup, — duszy twojej łachman zdarty.  
W płomykach gromnic stopiony wosk pryska:  
Blask ich przygasa, to znowu rozbłyska,  
W mrokach kaplicy mgłą żółtą rozwiany...  
Na katafalku, snem wiecznym skowany,  
Trup w bieli kwiatów leży z twarzą siną,  
W tajemne głosy zaświatów wsłuchany...  
A chwile płyną i płyną i płyną...

I dnie mijają, odkąd z żywych koła  
Śmierć cię wydarła; już wszelki ślad starty  
Istnienia twego; — już w próchnie szat goła  
Piersz twa i robak ją toczy zażarty, —  
Bo tam w stęchliźnie i głuszy schroniska

Grobu twojego tyś proch bez nazwiska,  
Wylegom prochu na pastwę oddany;  
Tak oto kwiat ów uroczy, wiośniany,  
Który zapomniał wśród tęcz, że jest gliną,  
Rzucony w trumnę, gnije zapomniany —  
A chwile płyną i płyną i płyną.

Pani się wzdraga!.. Obraz nieżądany  
Splamił widnokrąg jej myśli różany?...  
Ha, cóż!.. przeznaczeń drogi nie ominą  
Nikogo, burząc najpiękniejsze plany...  
A chwile płyną i płyną i płyną...

Tak, — chwilą tylko jest to nędzne życie,  
Szarem przedsieniem bezmiaru Wieczności,  
Męką przedzgonną nawet w swym rozkwicie.

Pomyśl więc, czemże tve łzy lub radości,  
Dążenia, walki, zawody, pragnienia,  
Wreszcie złudzenia zmysłowej miłości,

Czem tęcze marzeń i słodkie omdlenia,  
Gdy krew gorąca skroś serca łaskocze,  
We snach lubieżne przynosząc widzenia, —

Czemże tve czary i wdzięki urocze:  
To ciało twoje białe i różowe,  
Te usta kraśne, te złote warkocze,

Te czarne oczy, te zębki perłowe,  
Te... nie wiem zresztą... Piosenek szczebiotem  
Piękniej to dzwoni w noce księżycowe —

Czem jest to wszystko!... i czem będzie potem,  
Gdy legnie w jamie, ziemią przysypane,  
Pomyśl... dla szczęścia duszy pomyśl o tem!

Gdy z jednej strony to ciało poddane  
Zniszczeniu, — z drugiej życie wiekuiste,  
Anielska chwała, szczęście nieprzebrane —

Toć rozwiązanie kwestji oczywiste,  
Logika zwykła kierunek pokaże  
I ścieżki prawe, chociażby ciemiste.

Idź z Bogiem łaską Jego cię obdarzę,  
Niechże w jej blasku złudny ból twój zginie,  
Jak senny tuman w zórz rannych pożarze“.

Tu ksiądz zaszeptał prędko po łacinie.

. . . . .

W bladym błękicie nieba słońca złota kula,  
Minąwszy zenit, zwolna staczać się zaczyna;  
Żar tchnieniem ognia ziemię, jak płaszczem, otula;  
Zasnęło wszystko: — martwa nastąpiła godzina.

Roje świetlanych iskier w powietrzu migoczą,  
Porwane wirem krążąc w gorejącej dali;  
Zwiewnych tęcz błyskiem struny promieni łaskoczą,  
Wśród oparów drgających rozprysnięte fali.

W obszernym parku cicho. Wkształt krętych pierścieni  
Wiją się ścieżki, złotym wysypane piaskiem,  
Mdleją kwiaty wśród jasnej trawników zieleni,  
Wyniosłe drzewa milczą osłepione blaskiem,

Wkoło sennie i pusto... Lecz między drzewami  
Niemał na skraju, kędy jasna toń źródłana,  
Szemrząc w zielonym cieniu, igra fal blaskami,  
Przy strumieniu bieleje postać zadumana.

Srebrnych wód monotonna piosnka się kołysze  
W takt myśli, które w półśnie półucieleśnione  
Roją się, gwarem swoim wypełniając ciszę,  
Świat własny pod powieki wkładając spuszczone.

Niemało chwil minęło już odkąd hrabina  
W ustroniu tem samotna duszę targa biedną,  
Chcąc wrażeń przedzę wążką, niby pajęczyna,  
I splątana rozwikłać i sprząść w nitkę jedną.

Zbyt wiele ich przemknęło w tak niedługim czasie...  
Złoty płomyk marzenia rozwiął się w pożogę,—  
Niewinny sen, poczęty w zórz wieczornych krasie,  
Zanim zorze wróciły — zrodził ból i trwogę,—

Ból nieuchwytny, który w głębi się odzywa,  
Jak w dźwięcznym instrumencie struna źle napięta,  
Na głos którego cicha pieśń duszy się zrywa  
I zamiera, jak rzeka, nagle mrozem ścięta.

Straszne są te uczucia, zda się, bezpodstawne, —  
Tęsknoty, niewiadomo po czym i do czego,  
Owe zmory półsenne, trwogi napół jawne,  
Ból bez przyczyn, pragnienie czegoś niejasnego,

Niewyraźne podszepty świata nieznanego,  
Zjaw przyszłości, czy wspomnień odzew pożegnalny,  
Odbicie myśli własnych, czy myśli innego,  
Który krąży dokoła nas niedostrzegalny —

Straszne są to uczucia; — coś w duszy się dzieje,  
Coś rwie ją, niby strzała, wypuszczona zdradnie  
W noc ciemną z gąszczów leśnych, gdzie puszczyk się  
|śmieje  
I wiatr jesienny płacze, —przez kogo, —któż zgadnie?...

To w nas, — a poza nami co? Słońko przygrzało,  
Wiosennych tchnień powiewem ozwało się morze —  
I patrz: zbudzone życie zakwitło, — zagrało,  
W miłosnych splotach przyszłość tworząc w imię Boże.

Dlaczego człowiek nigdy wiosny mieć nie może,  
Lecz żyje, skuty lodem tysiącznych zakazów,  
Wiecznie zmuszony ciężar ich dźwigać w pokorze,  
Jak niewolnik, trzymany wciąż pod groźbą razów —

I tu, i poza grobem, i zawsze, i wszędzie,  
Za grzechy męką płacąc i męką za cnotę,  
Skazany tkwić w zawczasu wyznaczonej grzędzie  
I spełniać narzuconą wbrew chęciom robotę.

Cnota? — Piękne to słowo, lecz... zgadnij, co znaczy?  
Są takie określenia... jak znaczkii blaszane,  
Mające umówioną wartość w rękach graczy  
I, póki gry, dla wszystkich nader pożądane, ---

Lecz kiedy gra skończona, — wynik zachowany  
I na zielone sukno dźwięcząc pada złoto,  
Z jaką wzgardą gracz wtedy odsuwa liczmany,  
Których przez chwilę z taką pożądał ochotą.

Całe współżycie nasze toć gra hazardowa:  
Brudne, znaczone karty, — liczmany wytarte,  
Jak w podmiejskiej szynkowni szulerka groszowa  
O kradzione miedziaki—szulerka... *del arte*.

Łotra dajcie, — mordercę, niechaj złotem ciska  
W szachrajskiej grze, niech głupców obdziera ze skóry,  
Lecz niech stawka nie będzie tak potwornie niska,  
Jak wasza, ojce ludów, cnót zdawkowych ciury!

Podziwiam „wpływy“ wasze, „stosunki“, „nazwiska“  
I pożądliwość, jaką wzbudza to w hołocie,  
Nawet lubię was, jedzcie, póki pełna miska,  
Lecz zaklinam—prześciancie rozprawiać o cnocie.

Choć, między nami mówiąc, sfery idealne,  
Społeczeństwo, ojczyzna, honor — na tym świecie  
Są to pozornie tylko rzeczy... nie jadalne,  
Bo utyc na tem można — i wy to umiecie.

Niechże służy na zdrowie: wybaczcie gadanie;  
Jeślim ważył się dotknąć tak szanownych ludzi,  
Nie sądzicie, by mnie wasze obchodziło zdanie,  
Bym je zwalczać chciał, gdzietam! Mnie to tylko nudzi.

A zresztą mniejsza o to: — cóż ja przy was znaczę!...  
Na czym-że powieść moją urwałem przedziwną?  
— Piękna pani na cnoty uciążliwość płacze...  
Biedna! żal mi jej szczerze, — jakże jest naiwną.

Jednak, mimo sumienia czułą anhelicność,  
I w niej pono kielkują niestosowne wnioski.  
— Nie wchodźcie nigdy w bliższą z aniołami styczność,  
Bo przez to dusze nieraz tracą obraz Boski.

Rzeczywistość się rzadko z marzeniami zbiega:  
Kto chce zachować białość skrzydeł aniołowych  
I niewzruszoną wiarę, niechaj się wystrzega  
Sprawdzania marzeń swoich u ludzi fachowych.

Na twarzy pięknej pani brzydka legła chmura.  
Dusza podnosi rokosz: „Pocóż tak się trwożę?  
Szczęście tuż — rozmyślaniem człowiek nic nie wskóra, —  
Zresztą pocóż? — Wszak miłość grzechem być nie może!



Jako — tych iskier złotych niesforna zawieja,  
Rzucone w odmęt życia, krążą istnień puchy,  
Dzieci słońca, — i jeśli w słońcu ich nadzieja,  
Toć, że jest nic, co wiąże z całością — okruchy:

Tem jest prawo miłości, — cóż jest tedy grzechem?  
Czy wbrew ludzkiej przysiędze prawa słuchać głosu,  
Czy też prawo to łamać z pokornym uśmiechem  
Ofiary samolubstwa, — niewolnicy losu.

To złudzenie! — Któż krańce złudzenia wyjawi?..  
W kryształe zjawisk światło prawdy się rozpryska,  
Błękitnieje marzeniem i bólem się krwawi,  
Perli łzami zawodów i ogniem żądz błyska,

Tęczą gra, w barw tysiącu zjawia się i ginie  
I barw tych różnaitość wzrok ludzki ocenia,  
Gdy wspólne źródło rozum przeczuwa jedynie,  
Jako coś poza polem naszego widzenia.

Z tych barw utkane ciało i jego pragnienia, —  
I to, co dłoń żałobą, i to, co dłoń złotem  
Wczoraj błysło, dziś żyje, jutro w zapomnienia  
Mroku rozwiać się musi, — nikt nie wątpi o tem.

Cóż więc nam pozostaje? — W krótkim życia mgnieniu  
Wśród przędzy wrażeń takie nici kłaść na krosna  
By, zgodne między sobą i jasne w odcieniu,  
Wysnuły całość wdzięczną i śpiewną, jak wiosna.

Poco targać się, cierpieć, widzieć w sobie braki,  
Bać się skalania tego, co jest prochem tylko,  
I klatką, która więzi wolne duchy — ptaki,  
I złudzeniem, przelotną sennych widzeń chwilką.

Tyle zabiegów — o co? — o robactwa strawę?  
Zali względna jej wartość duszę dotknąć może?  
Niech ziemskie z ziemią żyje: zjawa — goni zjawę,  
Boskie, jeśli istnieje, wróci w światy Boże.

Ja żyć chcę i żyć w słońcu, nie w mroku i męce!...“  
Tu, czując wielką ulgę powziętej decyzji,  
Piękna pani z uśmiechem wyciągnęła ręce,  
Garnąc się do rozkosznej marzeń swoich wizji.

Bo wśród wszystkich boleści największe cierpienie,  
Które samo za wszelkie męki piekiel stanie,  
Najgorszy jad, zesłany nam na zatracenie,  
Wiodący do obłądu, — wierście mi — wahanie.

Wiele tragedji w życiu przejmuję nas dreszczem,  
Lecz one są, jak burza — twórcza w nich podnieta,  
Jedna tylko jesiennym, monotonnym deszczem  
Mrozi nas, — to dusz słabych tragedja — Hamleta.

Lepszy błąd — niż wahanie: błąd rozjaśnia oczy,  
Sam skutków swych goryczą przeciw sobie zbroi.  
Człowiek idzie wraz z życiem, życie naprzód kroczy:  
Kto staje, ten się cofa, — kto waha się — stoi.

Świadomy, czy bezwiedny błąd czai się wszędzie, —  
Ten z żalem, tamten nieraz spełniany radośnie, —  
Za oba jednak człowiek pokutować będzie,  
I tak prawdy istotnej świadomość w nim rośnie.

Kto wie, może to właśnie, co, jako zło, sądzisz,  
Bliższem prawdy, niż dobra twojego miraże:  
Nie bój się dróg nieznanych, — idź, — jeżeli zbłądzisz,  
Ból cię dotknie, lecz drogę właściwą ukaze.

Zresztą, choćbyś chciał nawet, niepewny kierunku,  
Wieki stać, do rozmyślań, niż do działań, skorszy,  
Życie z tobą nie stanie, — porwie bez ratunku  
I osłabłego rzuci w kierunek — najgorszy.

Nie łatwo jednak w pieśni zgodzić sprzeczne tony..  
Gdy hrabina od mroku duchowych rozdroży  
Odwróciła wzrok — wkoło cichych drzew korony  
Błyszczały już w złocistej aureoli zorzy;

Zaś niżej cień liljowy mgłą kwiatowej woni  
Już czary swoje rozwiał nad ziemią bezbronną, —  
Z nim strumień, kradnąc blaski księżycowej toni,  
Na chwałę nocy dzwoni piosnkę monotonną...

W bezbrzeżnem upojeniu świat do snu się kłoni,  
Otulony w szafiry gwiazdzistej otchłani,  
Wdali ostatni uśmiech słoneczny się płoni, —  
Pożegnalne „dobranoc“ mówi pięknej pani.

**Posłuchaj go—idź, spocznij.. Mgieł nocnych pieśczoła  
Dla silnych tworów słodka, lecz groźna dla ludzi,  
Zbyt wielka w niej potęga, a może — tęsknota...  
Pieśń przyrody — nie dla nas.. inna niech cię zbudzi.**

IV.

I znów noc przyszła — cicha i srebrzysta,  
Jak wczoraj: w lecie pogodne są noce, —  
Niebios toń sina, głęboka, przejrzysta,  
Figłami złotym piaskiem gwiazd migoce,  
Zaś księżyc, skoro w okres pełni wchodzi,  
Tydzień tak świeci, — każdy z tem się zgodzi.

Niech mnie więc minie zarzut naciągania  
Zjawisk z potrzeby rymu albo treści,  
Wzamian oszczędzę bliźnim powtarzania  
Opisów, które inny rozdział mieści,  
Mówiąc im krótko: tło całe w kolorze  
I dźwięku było — jak wczoraj w tej porze.

Ta sama wkoło lubieżna omdlałość,  
To samo kwiatów rozkochanie wonne,  
Ta sama lotnych mgieł rozwiewna białość,  
W cieniach fontanny pluski monotonne,  
Te same wreszcie figle i złudzenia  
W grze miesięcznego po szybach promienia;

Poza szybami ten sam purpurowy  
Płomyček lampki w sypialni hrabiny,  
Nad nim Madonny wzrok błyszczący surowy,  
Drzemią na ścianach mroczne gobeliny,  
Wszystko, jak wczoraj, — z jedną tylko zmianą:  
W oknach kotary zsunąć zapomniano.

Dokoła cisza... Czy śpiesz, piękna pani?!  
Spójrz: chochlik srebrny po wezglówiu płasa,  
Szepcze ci bajkę z gwiazdzistej otchłani...  
Nie chcesz bajeczki?... Spójrz, chochlik się dąsa,  
Skrzydółkiem oczy musnął ci kapryśnie,  
Jak bańka z tęczy, nadał się — wnet pryśnie

I snopem barwnych iskier się rozleci,  
Jak fala, którą wiatr na skałę cisnie,  
I na miesięcznych strunach, jak na sieci  
Babiego lata, rosą ci zabłyśnie  
I z białą przedzą pofrunie światami,  
Albo... na rzęsach zostanie ci łzami,

Zdając się pyłkiem drobniutkich perełek,  
Niby szron w zimie wyiskrzony rankiem,  
Gdy rozedrgane tysiącem światełek  
Dokoła źrenic ułożą się wiankiem,  
Dla obcych oczu powabne i lśniące,  
Ale dla własnych... ach, jakie męczące!

Szczęśliwi, którzy spokojnie spać mogą  
I w snów krainie zapomnieć o życiu,  
Bo stokroć milej, księżycową drogą  
Z chmurkami płynąc w błękitnym spowiciu,  
Stroić się w złudzeń swoich piórka pawie,  
Niżli je gonić, w bagnie tkwiąc — na jawie...

Jednak ten, który pośród życia męki  
Młodością jasny poemat układa

I nucąc, tak się opleść umie w dźwięki  
Piosenki swojej, jak w tęczę kaskada, —  
Ten w promienistej marzeń swych koronie  
Niech nie zasypia... póki tęcza płonie.

Przeto więc nie śpij — zbudź się, piękna pani,  
Bo ci się wyda, żeś szczęście przespała, —  
A choć pieśń często zwodzi nas i rani,  
Mądra przezorność na nic się nie zdała:  
Słodziej łez winę na innego zwalić,  
Niżli ze łzami — na siebie się żalić.

Słuchaj-no, słuchaj: tam w dole, tam w cieniu  
Coś się ozwało, coś dzwoni, coś kwili,  
Niby nad taflą jeziora w uśpieniu,  
O sinym zmierzchu lot nocnych motyli,  
Gdy, pierwszych łowów znużone pogonią,  
Skrzydłami w kryształ uderzając, — dzwonią.

Ten głos ci znany, — to dźwięk mandoliny, —  
Zbudź się na Boga! — To on, to kochanie.  
Ach! — pocóż wołam?... Już szemrzą muśliny..  
Nie było pono snem oczekiwanie,  
Ni rojeń zwiewnych po niebie gonitwą,  
Ni zapomnieniem, — lecz tęskną modlitwą.

Już niecierpliwie zmięte prześcieradło,  
Jak srebrne skrzydło anioła w odlocie,  
W świetle księżycy błysnęło — i padło,

I w mrok się skryło — na przekór niecnocie,  
Pełna tajemnych drzeń przemknęła chwila —  
I spójrz: cień jasny z mroków się wychyla...

I, tak jak wczoraj, wonny i świetlany  
Z głębi komnaty ku oknu się zbliża...  
Lecz oto płomyk lampki rozgniewany  
Pręży się, pryska, chwije się i zniża,  
Komnata różem wstydu pokraśniała,  
Cień się zawahał... Wtem piosnka zabrzmiała

I czar rzuciła. Przy oknie, drząc cała,  
W poświacie postać pojawia się biała  
I twarz spłonioną do szyby przykłada,  
Słuchając pieśni:

„Deszcz perłowy pada, pada  
Na błękitną niebios błoń —  
Na kielichach gwiazd osiada,

Błądą tęczą się rozkłada,  
Księżycową wieńcząc skroń,  
Deszcz perłowy pada, pada...

Księżyc płynie, jak najada,  
Za nim jasnych włosów woń  
Na kielichach gwiazd osiada,

Jak aniołków białych stada,  
Chmurki wkrąg się garną doń —  
Deszcz perłowy pada, pada...



Wśląd motyli snu gromada,  
Czarne maki sypiąc w toń,  
Na kielichach gwiazd osiada —

Cudne bajki opowiada:  
Dzwoń, piosenko srebrna, dzwoń...  
Deszcz perłowy pada, pada

Leć, piosenko!... Przędza biała  
Marzeń naszych, — serca brzoń,  
Na kielichach gwiazd osiada —

I tęsknotę wieczną składa  
W litościwą Rożą dłoń —  
Deszcz perłowy pada, pada...

Ogniem tryska żądź kaskada:  
Rwąć się, jak rycerski koń,  
Na kielichach gwiazd osiada,

Wyżej pędzi i — przepada,  
Idź, — nadgwiezdny lot ich zgoń!  
Deszcz perłowy pada, pada...

I znów cisza z duchem gada:  
„Próżny lot twój: — w sobie spłoń!...”  
Na kielichach gwiazd osiada,

Siecią złotą się układa:  
„Zaśnij, szepcze, — głowę skłoń!”

Deszcz perłowy pada, pada, —  
Na kielichach gwiazd osiada...

Zasnąć?... W zaświatowej ciszy  
Snić —

I pieścić się ze snem?..  
Nigdy!.. Póki ta pierś dyszy,  
Serce nie przestało bić, —  
Życ chcę!.. Walczyć chcę, — i żyć  
Całym tchem! —

Musisz być moja!!..“

Śpiew umilkł. Przeszło chwil kilka w milczeniu,  
(Zwie się to pono „pauza retoryczna“),—  
Rozkołysana w słodkiem rozmarzeniu  
Przy oknie cicha stoi pani śliczna,  
Jakby czekając, że pieśń, w dali mrąca,  
Echem powróci znowu i bez końca...

Lecz po okiennej ramie dłoń jej drżąca  
Błądzi niepewnie, — cofa się ostrożnie,  
Po chwili wraca i zasuwkę trąca,  
I znów, jak motyl, odlatuje trwożnie.  
Jednak, że praca idzie coraz sporzej,  
Znać: — wkrótce okno „samo się utworzy“.

Wtem, jakby tysiąc dzikich głosów wrzasło  
W kościelnej nawie podczas podniesienia,  
Wśród nocnej ciszy coś zniecka trzasło.

Pani — skoczyła, pełna przerażenia,  
I, dłonie cisnąc do drżącego łona,  
W mroku na fotel pada współ-zemdlona.

Oto gdzieś blisko jakiś łoskot szklany,  
Jakby szyb ręką pchniętych niecierpliwą,  
Rozległ się nagły i niespodziewany,  
Płosząc czar nutą ostrą i zgrzytliwą,  
Zaś po nim zaraz ozwał się niewinny,  
Drwiąco rozśmiany, — cienki, — pół dziecinny  
Głosik Pepity:

„Hop, hop — Girolamo!”

Głuche milczenie. —

„No, — panie śpiewaku,

Wszakże cię widzę: stoisz tam przed bramą  
I za topolą chcesz zniknąć bez znaku, —  
Próżny wysiłek! — Zbliż się waćpan przecie..“

**Girolamo** (*wychodzi z cienia, w którym usiłował się ukryć, i ku otwartemu oknu krokiem pełnym go-dności podąża, radosne udając zdumienie*):

Pepi?!... Jakże się cieszę... Witaj, drogie dziecię!..  
Sądziłem w pierwszej chwili, że m zbudził jutrzeńkę,  
Do gwiazd dalekich tęskną śpiewając piosenkę,  
Że, snem jeszcze rumiana, wyszła na krużganek,  
Złoty warkocz nad czołem układając w wianek  
I, pełne ciekawości oczęta figlarne  
Piąstkami trąc, spogląda w państwo nocy czarne:  
Kto tam na smutnej ziemi tak żałośnie biada?..

Ach, to biedny poeta!.. Więc rączęta składa  
I, do ust je podnosząc, — od ust pocałunek;  
Śle mu, jako najśodszy balsam na frasunek,  
I przezeń wszystkie męki wynagradza hojnie...

**Pepi.** Mistrzu, mówisz, jak lutnia dźwięcznie i przystoj-  
Niestety, jakież zawód gorzki cię spotyka, [nie...  
Że nie sama jutrzienka okno ci odmyka:  
Snać, by do ziemskich uczuć nabrała ochoty,  
W pieśni twej było jednak zamało tęsknoty! —  
Boć słyszeć ją musiała: głos masz waćpan mocny  
I gardziel wyrobioną, jak ptak... szkoda, że nocny...  
Wielka szkoda! Jeżeli jutrzienka waćpana  
Wyszła doń na krużganek, jeszcze snem rumiana,  
Zazdroścę jej prawdziwie, — jako zwykły człowiek,  
Już drugą noc nie mogę wcale zmrużyć powiek,  
Tak, że w końcu pod natchnień waćpana kaskadą,  
Jak spłukana — wyglądać będę całkiem blade:  
Dość mam tego narazie! Kochaj, graj i szalej,  
Tańcz i śpiewaj, lecz błagam: odejdz z tem gdzieś dalej.

**Girolamo** (*Zaczyna z żartobliwym potosem, później co-  
raz poważniej i szczerzej*):

O, wielki Boże! Jakież wyrok bezlitosny  
Za sen o wiosnie słyszę z ust wcielonej wiosny!..  
Żyjące szczęście piosnkę o szczęściu odrzuca,  
Bo mu jękiem tęsknoty harmonję zakłóca  
I skargą życia płoszy równowagę senną!  
Bo z dolin, jako tuman, w dal jego promienną

Od smutnej ziemi szarą płachtą się podnosi  
I w tej płachcie żebraczej o jałmużnę prosi...

Nic w tem zresztą dziwnego: ten tylko męczarnie  
Snów nieczyszczalnych, marzeń tęsknotę ogarnie,  
Kto, sam żyjąc, w grze z losem kośćmi o stół dzwonił  
I tak jedną po drugiej wszystkie stawki strwonił,  
Że mu już prócz tych marzeń nic nie pozostało...  
To — tak wiele być dzieckiem, Pepi, — i tak mało!  
Oto po łąkach, kędy złotem błyszczą kwiecie,  
Wesołe, od trosk wszelkich jeszcze wolne dziecię,  
Biega sobie radośnie i wszystkim się cieszy,  
I wszystko mu się śmieje, — i wszystko je śmieszy:  
Twarzyczkę rozjaśnioną podnosząc do słońka,  
Klaszcze w rączki, gdy jastrząb porywa skowronka  
I skrwawionego w błękit unosi — tak zęcinnie; —  
Gdy motylek złapany, trzepocząc się wdzięcznie,  
Na różowe paluszki barwny pyłek składa  
I z tych paluszków martwy na ziemię upada; —  
Gdy ten kwiat, który ono zrywa, bo go lubi,  
W rękach więdnąc, powoli blade płatki gubi,  
Aż wreszcie mu zeń brzydka zostaje szypułka...  
Ono śmieje się; biega chyże, jak jaskółka,  
Żywe, proste i jasne, jak słońca promienie...  
I nie myśli, że również i jego istnienie,  
Tak jak tego skowronka, jak tego motylka,  
Jak tego kwiatu — niczem jest: ot, mała chwilka, —  
Piękny, barwny obrazek i oczu złudzenie...

Tymczasem lata płyną, aż niepostrzeżenie  
Przychodzi młodość... inne z nią tchnienie powiało:  
Słodkich zabaw dzieciństwa już mu dziś zamało,  
Całodzienna gonitwa po łąkach je truzdi,  
Zawsze jedna w błękitach pieśń skowronka nudzi,  
O kwiaty i motylki nie dba — obojętne,  
Wśród łąk przechodzi, nawet nie widząc ich — smętne  
Od pocałunków słońca twarzyczkę zasłania;  
Widać, że już innego pragnie całowania, —  
Pragnie póty, aż wreszcie ziszcza się pragnienie:  
I oto patrz, w ustroniu dwa powiewne cienie,  
Przytulone do siebie, jakby jedną postać,  
Zlewając się, utworzyć chciały, — i tak zostać..  
Szmer pocałunków szemrze w upojenia fali,  
Szepty wyznań, zaklęcia, modły i... tak dalej..  
„Mój... moja,“ i — „twój... twoja... na zawsze... na wieki...“  
We mgłach oczy pod ciężkie kryją się powieki,  
Dreszcz luby pierś kołysze, — w piersi zachwycenie,  
Krew tętni żarem, słodkie ogarnia omdlenie, —  
I gdy tak myśli rwą się, ponoć niepotrzebne,  
Nie mogą przeczuć, w sfery zdążając podniebne,  
Że to wszystko... gra zmysłów i dwóch serc złudzenie...

Tymczasem chwile płyną im, jak oka mgnienie,  
Lecz jakże chwil tych mało: — związki los rozplata,  
Lub splata je na zawsze, z okrucieństwem kata  
Dogadzając marzeniom, by wydrwić je snadniej..  
A wtedy, gdy ze skrzydeł pył złoty opadnie,  
Gdy się tęcza ich życia szarością zabrudzi,

Zblednie czar pierwszych uczuć, naiwność ich znudzi  
I człowiek duszą wrośnie do ludzkiego stada,  
Wtedy innych żądz mętna fala nim owłada, —  
Ale mi o tem, Pepi, mówić nie wypada...  
Wszakże i tych uroków blask szybko ciemnieje —  
A wtenczas, — różne losów bywają koleje:  
W sercu tkliwem się zakres kochania rozszerza  
I w dzwon miłości kraju serce to uderza;  
Ze starych ksiąg odtwarza przeszłe jego dzieje,  
Bada współczesność, snuje na przyszłość nadzieje.  
Lecz — z pracy tej najczęściej taki wynik bywa,  
Że się chyba w przyszłości tej urok odkrywa,  
Zwłaszcza, jeżeli dusza jest do marzeń skłonna,  
A przyszłość dość daleką, by stać się pozgonną.  
Zatem znowu dziedzina umiłowań rośnie  
I całą ludzkość skrzydłem otula radośnie,  
Lecz tu pono ta sama historia się zdarza:  
Przeszłość i terażniejszość — niegodne ołtarza,  
Zaś przyszłość... któż odgadnie, czy zmianę przyniesie?..  
Tak, długo się błakając w gęstym, ciemnym lesie,  
Człowiek o czułym sercu, — pełen zniechęcenia,  
Pada wreszcie i szepcze: — złudzenia... złudzenia...

I tracąc chęć do uczuć, ima się nauki,  
Rzemiosł, handlu, rolnictwa, albo nawet sztuki,  
Lub w niedoli bogatym wianem się pociesza,  
Lub rozpija się sprośnie, — a czasem się wiesza, —  
Lub widząc, że wśród złudzeń wciąż z prawdą się mija,  
U kościelnych podwoi klin klinem wybija...

Bo różne charaktery, i drogi człowiecze  
Różnemi są, — a przyczyn tego któż dociecze?

I tak wreszcie na zgliszczach zburzonych ołtarzy  
Wśród popielisk, jak węgiel przygasły, się żarzy  
I żar żywota w przestrzeń nadaremno sieje,  
I wiecznie na coś czeka i czeka, — aż stleje...  
A pozostałość po nim wichry kędyś zmiotą, —  
Wichry, ludziom nieznane—dokąd?—mniejsza o to!

Tak, Pepi złotowłosa! Panienska się gniewa,  
Że ten nudziarz nieżnośny pod oknem jej śpiewa,  
I że śpiewem przeszkadza snów rozkosznej zjawie, —  
Lecz niech wybaczy; — Pepi jeszcze śni na jawie,  
Gdy ten nieszczęsny we śnie nawet śnić nie zdolny...  
Bo Pepi dziecko, — taki mały kwiatek polny,  
Który wśród zbóż wyrasta i cieszy się słońkiem,  
Wonnych kłosów szelestem, niebem i skowronkiem,  
I motylkiem, i muszką, nawet kosy brzękiem,  
Nawet burzy łoskotem, nawet wichru jękiem,  
Gdy kędyś z poza światów litosny przylata  
I, deszcz za sobą niosąc, splukuje lży świata,  
By goryczą tej roli Bożej nie przeżarły...  
Bo tylko wiatr skrzydlaty wie, jak płaczą karły,  
Które ludźmi się zowią, — wie, bo wszędzie sięga  
I w każdy kąt się wciśnie — wieczysty włóczęga,  
A co widzi i słyszy, — poetom powiada  
I tęsknicę człowieczą na serca im składa.  
Zaś każdy z nich być może, jako człowiek marny:



Kostera, pijak, piękniś próżny i niezdarny,  
Lecz jeśli iskra Boża istotnie w nim płonie,  
Jeśli naprawdę nosi źródło natchnień w łonie,  
Tęsknica ta owłada nim — dławi i dusi,  
I wszystkimi jej łzami płakać wtedy musi.  
Ty, dziecko, nie wiesz o tem, — jak nie wiedzą kwiaty,  
I nie wiesz, że niejeden dorosły, wąsaty  
I brodaty, i znany, i powszechnie czczony,  
Oddałby wszystkie wieńce swoje i ukłony  
I pochlebstwa, któremi współcześni go darzą,  
Aby mógł znowu stać się dzieckiem — z jasną twarzą,  
Choć na jeden dzień dzieckiem, takim, jak dziś Pepi, —  
Nikt atoli lat przeszłych sznura nie odczepi...

Więc cóż mu pozostaje?... Ot, piosenki składa,  
Nad wspomnień dawnych grobem żałośliwie biada,  
I biadając, paniąkom w nocy spać przeszkadza...  
A taką jest przedziwna tych piosenek władza,  
Że gdy się je zanuci, a słowa namiętne  
Płyną kędyś do okien słodkie i natrętne, —  
Moc jakaś serce zgasłe budzi i rozgrzewa  
Tak, że nietylko gardło, — cała dusza śpiewa...  
I znów staje się zdolną kochać, jak przed laty,  
Zanim pierwszej młodości nie opadły kwiaty,  
I znów staje się zdolną wśród chłodu i cienia,  
Jak niegdyś, snuć tęczowe o szczęściu rojenia.  
Lecz trwa to jeno chwilę, — póki grają struny...  
Później — znów stado myśli gorzkich, jak piołuny,  
A żarłocznych, jak owe jadowite harpje,

Na pierś zbolałą pada, i rwie ją, i szarpie,  
Za ukradzioną chwilę mszcząc się tem okrutniej...  
Zresztą — mniejsza...

A zatem przebacz mojej lutni,  
O, Pepi, — mój kwiatuśzku złocisty! — Daj rączkę...  
Obiecuję ci zato tęsknot mych gorączkę,  
Przenieść dalej i snów ci nie zakłócać nocą,  
Tembardziej, że doprawdy... zgoła nie wiem, poco  
Czyniłem to. — Poeci sami się nie łudzą,  
Choć, pragnąc tego, często złudzenia te budzą  
I serca wkoło budzą i dusze — dla innych,  
Słowem—orzają i sieją na plony dla czynnych,—  
Im zostaje—świadomość.

Dobranoc, — bądź zdrowa, —  
I niech Bóg jaknajdłużej dzieckiem cię zachowa.  
*(Tu, dworny ukłon jej złożywszy, od okna się odwraca  
i powoli odchodzi).*

**Pepi** *(po chwili milczenia — woła):*

Nie śpiesz tak, Girolamo, — wróć się tu na chwilę!

**Girolamo** *(z oddali).*

Już czas... usnęły kwiaty, skowronki, motyle,—  
I dzieci spać powinny... Słodkich marzeń życzę,  
Miłego snu, jutrenko...

*(Zręcznie przesłakuje przez mur i zniką).*

**Pepi.**

Poszedł...

*(W zadumie o ramę okna głowę oparła. Nagły szelest budzi ją, jak ze snu. Szybko odwracając się, na widok siostry wydaje okrzyk zdziwienia):*

Beatryczel?

A ty tu skąd?..

**Hrabina** *(z ironją)*.

Prawdziwie, naiwne pytanie,  
Zarówno niedorzeczne, jak i zachowanie,  
Wśród dobrze wychowanych ludzi niepojęte!  
Spójrz tylko, jak wyglądasz: Włosy nieupięte...  
Potargane... w otwartym oknie sobie stajesz  
W koszuli — i z mężczyzną w rozmowę się wdajesz,  
I zwierzeń jego słuchasz, a potem — bez mała,  
Gdyby chciał tylko, sama byś mu się zwierzała!...  
*(Z gniewem)*: Powiedz mi, moja droga, co ci się też z daje  
Chcesz pono jakieś nowe wprowadzić zwyczaje,  
W naszym świecie dotychczas wcale nie przyjęte!...  
Mamże ja na to wszystko mieć oczy zamknięte?—  
A cóż matce odpowiem, kiedy się zapyta:  
„Jakże się tam u ciebie sprawiała Pepita?”  
Przecie wyznać jej muszę...

**Pepi** *(pokornie)*.

A to znowu — poco?...

Nie gniewaj się już, —wybacz... Spójrz, gwiazdy się  
[złocą,  
Tak pięknie... i tak cicho wkoło... tak srebrzyście,  
Tak cudnie pachną kwiaty i szeleszczą liście,

A w cieniu ich fontanna zda się niemal śpiewać...  
Świat cały tchnie pieszczotą... Czyż można się gniewać?  
I przecie... nic naprawdę złego się nie stało...  
To — nie był żaden... romans...

**Hrabina** (*mięknąc*).

Wiem, rozmowę całą  
Słyszeć przecie musiałam... rada, czy nie rada,  
O treść jej mi nie chodzi, lecz to... nie wypada...  
*(Tu piękna pani nieco się zająknęła. Może dźwięk ostatniego słowa wspomnieniem jakimś myśli jej zmieszał, a może też i z innych powodów, lecz zgoła już odmiennym tonem po chwili mówić zaczęła):*

Powiedz mi, Pepi, — czyś ty dobrze zrozumiała  
To wszystko?...

**Pepi.**

Jakto?

**Hrabina.**

Poco ta elegja cała?

Ta opowieść o wielkich tęsknotach, cierpieniach,  
Nieziszczalnych marzeniach, i łzach, i wspomnieniach,  
O zabawach dzieciństwa, uczuciach młodości,  
O miłości ojczyzny, kochaniu ludzkości,  
O zawodach bez liku i ciągłych złudzeniach,  
O mgłach szarych i tęczach, o blaskach i cieniach,  
I o tem, jak umarłe zmartwychwstaje w śpiewie...  
Poco on ci to mówił?...

**Pepi.**

Nie wiem.

**Hrabina** (*z niechęcią*):

I on nie wie!...

Pewna jestem, że nie wie, — i nikt nie odgadnie,  
Co tam w tej słów powodzi mogło kryć się na dnie.  
Tacy poeci sądzą, że zawsze powinni  
Czuć, i widzieć, i myśleć inaczej, niż inni,  
Nie tak, jak jest—lecz raczej tak, jak im się zdaje; \*)  
Wiecznie błędzić przez chorej wyobraźni kraje,  
Fantastyczne chimery na pokaz wywlekać,  
Bajając, gmatwać i zwodzić, — a potem — narzekać:  
I to się właśnie u nich nazywa natchnieniem,  
Iskrą Bożą i świętem sztuki namaszczeniem,  
W gruncie zaś jest to próżne, niemądre gadanie...

**Pepi** (*nieco złośliwie*):

A skądże, pani sestro, — to rozczarowanie?...  
Poeta wypadł z łaski?... któżby się spodziewał?...  
Biedaczek! — Przez dwie noce tak pięknie tu śpiewał,  
Dwie noce musiał gardło nieustannie trudzić,  
By, — jak sam mówił, — serce twe dla innych zbudzić,  
Przez miłość dla bliźniego... I oto nagroda:  
Niemądrym go nazwano, — a stąd cała szkoda,  
Że w poświęceniu swoim niedość był... uparty. —

---

\*) Prawda, którą można zastosować do wszystkich stworzeń bez wyjątku, często jednak, zwłaszcza w ustach pań, przybierająca formę zarzutu. (przyp. aut.).

**Hrabina** (*zmieszana*).

Zechciej, proszę, powściągnąć niestosowne żarty,  
Zamknąć okno i wracać do łóżka: — spać pora!  
Dobranoc...

**Pepi** (*niby trochę nadąsana, powoli okno zamyka, po-  
czem, nie odwracając głowy, — kąpryśnie*):

A dasz buzi?...

**Hrabina** (*całując ją*). Nieznośna przekora...  
(*Pepi rzuca jej się na szyję i ściska z ogromnem wylaniem*).

No dość, — już dość... (*wyrywa się*).

**Pepi** (*wskakując do łóżka*).

Dobranoc, siostrzyczko kochana, —

Nie gniewaj się na Pepi, choć źle wychowana...

(*Zawija się w kołdrę*). Ale ten Girolamo, to naprawdę  
[dziwny...

**Hrabina** (*we drzwiach*). No, śpij już, — śpij...

(*Wychodząc, — do siebie*): Nie tyle dziwny, lecz...naiwny...

### ZAKOŃCZENIE.

Z twarzą ukrytą w poduszek puch biały,  
Hrabina próżno zamyka powieki,  
Sen nie przylata: — wśród złotej nawaly  
Gwiazd widno błękit porwał go daleki  
I tak omamił nadmiarem przestrzeni,  
Że już na ziemię powrócić się leni.

Głuchy na wszelkie prośby i błagania,  
Rad, że z ciasnoty dostał się do nieba,  
Nawet nie spojrzy na zmięte posłania  
Tych, którym we łzach ukojenia trzeba,  
Lecz—kędys w kraju aniołów i wiosny  
Igra, sam anioł cudny, bezlitosny.

Na szczęście jednak są różne sposoby  
By go do zejścia przymusić, choć nie chce:  
Między innymi dobrze jest jakoby,  
Gdy sługa piórkiem lekko pięty łechce,  
Czytanie wierszy też się może nadać,  
A już najlepiej — bajki sobie składać.

Niańka mnie tego niegdyś nauczała,  
A że typ niańki nigdy się nie zmienia,  
Snać piękna pani też sposób ten znała:  
Bo oto nagle, ruchem zniechęcenia  
Z piany koronek wydobywszy głowę,  
Taką do siebie zaczęła przemowę:

„Za siódmą górą, za dziesiątą rzeką  
Był sobie kiedyś wielki, ciemny las.  
Gdziekolwiek spojrzeć, ciągnął się daleko,  
Cały widnokrąg obejmując wraz;  
A w głębi tego lasu, przy dolinie,  
Gdzie, szmerząc strumień kryształowy płynie,  
W dzikim bezdrożu niedostępnych kniej,  
Małeńka chata kryła się w gęstwinie,  
Ubogi leśnik mieszkał w chatce tej.  
Leśnik miał córkę — z twarzyczką, jak mleko,  
Tak cudnie piękną, że dzień przy niej gasł,  
Z dwoma płatkami nieba pod powieką,  
Z warkoczem złotym, jak jutrzeńki pas,  
Lecz z sercem w piersi nieczułem — jak głaz.

Napróżno chłopcy zbiegali się do niej,  
Błądząc wśród bagien, wykrotów i pni,  
By skrzesać iskrę w marmurowem łonie  
Pieśnią wiosennych, rozkochanych dni;  
Myśli dziewczęcia, jako chyże ptaki,  
Kędyś wysoko w nadgwiaździste szlaki  
Płynąc, w marzeniu szukały swych dróg:  
Nie dla niej wiejskie dorodne chłopaki,  
Snem jej królewicz, potężny, jak Bóg, —  
Na białym koniu — w złocistej koronie,  
Z mieczem, co w ręku, jak pochodnia, lśni,  
W płaszczu, co jasną zórz purpurą błonie, —  
Takim go widzi — i takim go śni,  
I w skromnej chacie ojca jej się cni.



Wśród takich złudzeń młodość jej mijała  
I z niemi może odeszła by w cień,  
Obca tej ziemi, oddana im cała,  
Bez pragnień ludzkich, bez serdecznych drzeń, —  
Aliści inne były losów plany.  
Pewnego razu, wiosną w świt rumiany,  
Na łące kwiatów zbierawszy pęk,  
Gdy spocząc legła, — nagle niespodziany,  
Tajemny serce jej ogarnął lęk:  
I zdało jej się, że w dali mgła biała  
W kłęb się zwinęła, pełna dziwnych wrzeń,  
Potem się w górę wzniosła i stopniała,  
A na jej miejscu — bohater jej śnień,  
Królewicz stanął jasny — jako dzień...

Snem-li to było? — Któż odgadnąć zdoła...  
Królewicz zwolna chyli nad nią skroń,  
Spojrzał z uśmiechem i dotknął jej czoła,  
Na włosach kładąc pieśczośliwą dłoń,  
A potem, — gładząc leciutko jej włosy,  
Zdawał się blednąć i zlewać z niebiosy  
I zniknął wkońcu, jak sen — czy też mgłą  
W te djamentowe rozprysnął się rosy,  
Dosyć, że zniknął — na niedolę złą.  
I próżno dziewczę spogląda dokoła,  
Nic — jeno cicha zieleni się błoń, —  
I próżno ręce wyciąga i woła,  
Nic — milczy niebios lazurowa toń,  
Nic — jeno kwiecica więdnącego woń, —

Nic — jeno w sercu wieczysta tęsknota,  
Na wieki w próżnię wyteżony słuch,  
A w myśli jedna, wieczna bajka złota  
Snuje się, wiję, jak śnieżysty puch...  
Snuje się — wiję, tęczą gra i ginie  
Na ziemię pada i w rozmięklej glinie  
Staje się błotem wśród zamarłych pól ..  
Jakże się szybko rozwiął sen dziewczyniel  
Jakże niezmierny zostawił jej ból!  
Niczem zabawa jej, — niczem robota,  
Słońce ją razi, — męczy każdy ruch,—  
By zaś wróciło zdrowie i ochota,  
Pomoże chyba dobry lub zły duch,  
Pan Bóg — lub szatan... Ale który z dwóch?..

A był ci w lesie tym czarownik stary,  
Miał może ze sto, — albo więcej lat;  
Idzie doń dziewczę przez knieje, moczary,  
Idzie go błagać, by jej przyszłość zgadł.  
Starzec mógł zawsze dać radę w potrzebie,  
Wnet więc zbadawszy napisane w niebie,  
Rzekł: „Dziewczę! minął wiosny twojej czas,  
Chcesz, by królewicz — sam wrócił do ciebie,  
Lecz on się zjawia w życiu tylko raz...  
Wezwać go można bez wielkiej ofiary,  
Nawet nie trzeba iść daleko w świat,—  
Mieszka tu obok — w głębi tej pieczary,  
Ale nie sam, bo z nim wraz mieszka gad,  
Co już niejedno młode dziewczę zjadł.

Strzeż się go zatem — oto moja rada,  
Wyrzecz się lepiej niedorzecznych złud,  
Doleń swą przyjmij, jak z losu wypada,  
Nie żądaj, by się ziścił tobie cud.  
A teraz — możesz odejść z Panem Bogiem.“  
Tu, pożegnawszy ją wejrzeniem srogiem,  
Odszedł poważnie, jakby jaki ksiądz, —  
Lecz ledwie zniknął za chaty swej progiem,  
Dziewczę pobiegło za głosem swych żąd.  
Już do pieczary przybliża się blada  
(Tak ją wyczerpał przyśpieszony chód),  
Wejść by pragnęła, lecz się boi gada,  
Więc, pełna wahań, stanęła u wrót...  
Prawdę-li mówił starzec, — czy też zwiódł?..

A gdy w zwątpieniu drży serce dziewczyny,  
Wzrasta w niem grzechu jadowity kierz:  
Szatan ją kusi: „tam on, twój jedyny,  
Czeka na ciebie, — ach, śpiesz się doń, — śpiesz...  
Nic się nie lękaj, wszak miłość zwycięża  
Największą przemoc — nawet bez oręża,  
Starości nie wierz, nie słuchaj jej słów,  
Gdzieżby znów mieszkał w towarzystwie węża  
Cudny królewicz — bohater twych snów“.  
Wtedy za głosem przewrotnej gadziny,  
Przeszedłszy krętą gmatwaninę ścież,  
Otwiera wrota... Ale cóż! — z głębiny  
Nie skoczył wprawdzie żaden straszny zwierz,  
Lecz... królewicza nie było w niej też!“

Tu się skończyła opowieść przerwana,  
Bo piękna pani z ostatnimi słowy,  
Własną bajeczką snąc ukołysana,  
Głowę na podściół złożyła puchowy,  
Zamknęła oczy, — w kłębek się zwinęła  
I nic nie rzekła więcej — snąc zasnęła.

Dziwić się niema czemu: już na wschodzie  
Słońce rzuciło promieni fontannę,  
Wesoły świergot zadzwonił w ogrodzie  
Ptasich kumoszek płoteczki poranne,  
A zresztą, z potrzeb naturalnych mocy,  
W dzień spać powinien ten, kto nie spał w nocy.

. . . . .

Lecz to, co pięknej pani ujdzie snadnie,  
Wierszopisowi wcale nie uchodzi:  
Rzecz skończyć muszę, gdym zaczął tak ładnie,  
A na to dodać kilka słów nie szkodzi;  
Zaś kto mógł dotąd błędzić po tym lesie  
Rymów i zwrotek, ten i resztę zniesie,  
Blizkich wyzwolin krzepiąc się nadzieją. —  
Otóż, o ile pamięć mnie nie myli,  
Bohaterowie moi wszyscy żyli  
Czas jeszcze długi — zwykłych dni kolejają:  
Księżna, jak dawniej, tłumy gości zbiera,  
Krzewi naukę i sztuki popiera,  
Karmi i poi w zamku della Sera. —  
Mistrz Girolamo, wciąż pełen natchnienia,

Nowy poemat pisze bez wątpienia  
I nowe pieśni składa niestrudzony. —  
Pepi wyrasta w rozumek i latka,  
Już pono męża szuka dla niej matka,  
By zaś bogaty był i urodzony.  
Hrabia Colonna — jako dyplomata,  
Stale przebywa gdzieś na końcu świata  
I barbarzyńskich królów za nos wodzi. —  
Piękna hrabina nieco się zmieniła,  
Już teraz rzadziej do kościoła chodzi,  
Stała się nagle rozmowna i miła,  
Mniej niedostępna — i mniej uroczysta. —  
Zmienił się także filozof Battista,  
Wzrok jego płonie dumny i wyniosły,  
Na Girolama patrzy bardzo z góry,  
Twierdząc, że wszyscy poeci to — osły.  
Przytem — jak szepczą pałacowe ciury,  
Których gadanie nic nas nie obchodzi,  
Zacny ten człowiek od pewnego czasu  
Dość często w nocy na spacer wychodzi,  
Pewnie... do lasu.

Maj — Grudzień 1915 r., Warszawa.

BADAŃ I  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-88-83











F  
3574